Nr 13
6. X. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE: ARTYKUŁY AL. THENA, A. RAPACKIEGO, L. BUNTKOWSKIEGO, ◉ FELIETONY Z. FIJASA J. WYSZOMIRSKIEGO ◉ WIERSZE J. BRZECHWY I S. POLLAKA ◉ FRAGMENTY Z OSTATNICH WALK KAMP. WRZEŚNIOWEJ ◉ DZIAŁ INFORMACYJNY, GOSPODARCZY, LITERACKI ITD.

HEGEMONIA CZY WSPÓŁPRACA

Zwycięstwo Francji w poprzedniej wojnie światowej w zespole innych mocarstw dało jej w Europie pewne przywileje, jakich nie posiadała przedtem. Rywalizacja mocarstw europejskich przed rokiem 1914 toczyła się zdala od sfery zainteresowań francuskich. Rozpędzona wysiłkiem i geniuszem Bismarcka polityka niemiecka rozpychała się za Wilhelma II w całej Europie i poza Europą. Na Bałkanach toczyła się gra o wpływy i dominację między monarchią Austro-Węgierską a Rosją. Za czasów swego kanclerstwa Bismarck łagodził wszelkimi sposobami tę rywalizację, sięgającą jeszcze końca XVIII stulecia, gdy Józef II, syn Marii Teresy, poddał Rosji myśl drugiego rozbioru Polski, w którym wprawdzie sam nie brał udziału, ale osiągnął cel ważniejszy: odwrócenie ekspansji rosyjskiej od Bałkanów.

Wilhelm II zmienił z biegiem czasu zasadnicze wytyczne polityki Bismarcka, dążącej do utrzymania z Rosją przyjaznych stosunków. Stałe popieranie dążeń austriacko-węgierskich na Bałkanach musiało wywołać w Petersburgu niezadowolenie i przyczynić się do ochłodzenia stosunków sąsiedzkich z Niemcami.

W tej grze Francja odgrywała rolę wybitnie spektakularną czekając na wybuch otwartego konfliktu rosyjsko-austriackiego i wmieszanie się doń Niemiec. Wynik wojny rosyjsko-japońskiej ostudził te nadzieje. W Paryżu widziano jasno, że ówczesna Rosja nie stanowiła takiej potęgi, na jaką można by liczyć w wielkim konflikcie europejskim. To jedno. A drugie, klęska Rosji w Mandżurii hamowała również jej ekspansję w Europie i niweczyła szanse bliskiego konfliktu na Bałkanach.

W tych warunkach zainteresowanie Francji skierowało się ku tworzeniu imperium kolonialnego. Gigantyczny wyścig kolonialny w Afryce między poszczególnymi mocarstwami europejskimi, wśród których znalazły się i Niemcy, omal nie doprowadził do otwartego konfliktu między starymi rywalkami, Francją i Anglią. Lord Kitchener, bohater wojen kolonialnych, typowy rębajło brytyjski, który przewyższył pod tym względem księcia Wellingtona, dążył — być może z całą świadomością do wywołania konfliktu. Ten człowiek żył tylko dla wojny i w wojnie. Prowokował w Afryce z drobnego incydentu Fashody wielką wojnę kolonialną, która mogła by się stać dzięki potędze floty brytyjskiej tym dla Trzeciej Republiki Francuskiej, czym stała się wyprawa egipska dla Napoleona. Wszak lord Kitchener był ulubieńcem królowej Wiktorii, surowej władczyni, która chętnie spoglądała na powiększanie imperium brytyjskiego przez swe wojska. Stał wprawdzie poza nią starzejący się w bezczynności następca tronu, Edward, nie był on jednak zdolny wywrzeć odpowiedniego wpływu na swą starą matkę, która wierzyła w słuszność swej polityki już choćby z tego względu, że nigdy w swym długim panowaniu nie spotkało jej niepowodzenie. A jednak Edward postanowił nie dopuścić do rozdmuchania incydentu sudańskiego, postanowił ukrócić zaborcze zapędy Kitchenera i wyzyskać incydent do zawarcia z Francją trwałego przymierza, którego ostrze zostałoby skierowane przeciw rosnącej potędze Niemiec. Porozumiawszy się uprzednio z francuskimi mężami stanu, potrafił wytłumaczyć swej wielkiej matce, że dotychczas zasadą polityki brytyjskiej było osłabianie najsilniejszego w Europie, a tym najsilniejszym w danym momencie nie była Francja, lecz Niemcy. A ponieważ jego zdanie podzielał również ówczesny premier, Józef Chamberlain, pierwszy z dynastji Chamberlainów-polityków, krwawy incydent sudański posłużył do zawarcia przymierza z Francją.

Był to prolog do wielkiej sztuki, który epilog rozegrał się w wagonie kolejowym w lasku Compiègne w r. 1918, stała bowiem rywalizacja austriacko-rosyjska na Bałkanach doprowadziła rzeczywiście do wojny w myśl obliczeń francuskich.

W szeregu wielkich zwycięzców pierwszej wojny światowej obok Francji stały Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Jedno mocarstwo wyspiarskie, związane mniej lub więcej luźnie z kontynentem, drugie zaatlantyckie, które po wielkich spodziewaniach wersalskich cofnęło się na swą hemisferę, pozostawiając skołataną Europę jej własnemu losowi. Rosja, która wcześniej wyszła z wojny i zaprzątnięta była własnymi sprawami domowymi,nie mogła uczestniczyć w powojennej organizacji Europy. W tych warunkach najsilniejszym partnerem o dominującej roli stała się na kontynencie europejskim Francja. Niesłychanie ruchliwa w okresie powersalskim polityka francuska wyeliminowała z Europy wpływy brytyjskie. Francja, nie Anglia, stała się opiekunką i protektorką małych i średnich narodów w Europie. Pod wpływami Francji znalazły się: Polska, Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia, a nawet, po pewnym okresie wstępnym, Austria. Pod wpływy Anglii dostała się Grecja monarchistyczna, ale po nieszczęśliwej wojnie z Turcją, gdy na czele rządu stanął Venizelos, sympatie Grecji zwróciły się wybitnie ku Francji. Również w Lidze Narodów głos Francji był decydujący dzięki poparciu jej pupilów.

W tych warunkach Europa znalazła się faktycznie pod hegemonią francuską, ale wykonywaną dyskretnie, w sposób kulturalny i subtelny, nie dający narodom odczuć wywieranych nacisków. Była to antyteza hegemonii niemieckiej, jaką Europa musiała znosić w pewnych okresach. I może dlatego znoszona była bez szemrania.

Ale polityka francuska przechodziła w ciągu lat powojennych znaczne fluktuacje, od polityki siły w okresie zajmowania zagłębia Ruhry za niewypełnianie przez Niemcy klauzuli traktatu wersalskiego o odszkodowaniach, aż do polityki ustępstw natury zasadniczej przez podpisanie z Niemcami traktatu locarneńskiego, który nie stanowił uzupełnienia traktatu wersalskiego, lecz odstępstwo od jej reguł. Traktat locarneński ośmielał politykę niemiecką w stosunku do wschodnich pupilów Francji. Akt w Locarno był właściwie ostatnim aktem polityki francuskiej, zresztą nieszczęśliwym. Po nim polityka francuska nie zdobyła się już na żaden wielki, europejski gest, i biegła tylko wąskim nurtem, który doprowadził ją do katastrofy z r. 1940.

I wówczas dopiero polityka brytyjska zaczęła wychylać nieśmiało głowę z za Kanału i czynić wypady ku Europie. Wypady sporadyczne, nieoparte na ciągłości stałej linii. Wypad kierowników Foreign Office w r. 1935—Simona i Edena — w sprawie paktu wschodniego skończył się na niczym. Sankcje antywłoskie, wymuszone przez Edena na Lidze Narodów, nosiły wybitne piętno rozgrywki kolonialnej. Jedynym konkretnym aktem było zawarcie z Polską paktu wzajemnej pomocy, który nie uchronił wprawdzie Polski od inwazji niemieckiej, ale zobowiązał Wielką Brytanię do wojny z Hitlerem i zmusił do takiego samego kroku ociągającą się Francję. Cała dalsza mobilizacja świata do krucjaty przeciw Hitlerowi, przy wybitnej pomocy samego Hitlera, który popełnił wiele kapitalnych błędów politycznych, miała za początek ten pierwszy pakt polsko-brytyjski.

W obecnym okresie powojennym sytuacja Europy przedstawia się zgoła odmiennie, aniżeli po poprzedniej wojnie. Jakkolwiek Francja została dopuszczona do głosu w rozwiązywaniu zagadnienia powojennej organizacji Europy, jednak głos ten nie jest dominujący. Głos decydujący posiadają trzy mocarstwa, z których Rosja jest mocarstwem kontynentalnym, Wielka Brytania wyspiarsko - kolonialnym, a Stany Zjednoczone zaoceanicznym. W tych warunkach sharmonizowanie polityki tych trzech mocarstw dla dobra Europy nie jest łatwe, gdyż każdy z trzech głównych partnerów wykazuje różne zainteresowania, wypływające z różnych celów i z różnej oceny zjawisk. Wprawdzie ministrowie spraw zagranicznych czterech mocarstw (z Francją) czynią wszelkie wysiłki, by uzgodnić swe stanowiska wobec zagadnień powojennej Europy, ale rozgrzana wojną atmosfera nie wpływa dodatnio na te wysiłki. Niejednokrotnie wyskok któregoś z mniejszych zwycięzców, przeważnie zamorskich, powoduje wybuch zaognień, które wywołują na konferencji pokojowej długą dyskusję i oddalają od siebie mocarstwa. Umęczona przez wojnę i okupację Europa potrzebuje długiego okresu pokoju. Ten pokój może być osiągnięty tylko wówczas, gdy dokonane zostanie uzgodnienie interesów i celów między wielkimi mocarstwami. Europa dzisiejsza oddaliła się tak znacznie od Europy z r. 1918, że nie ma w niej dziś miejsca na hegemonię jednego ze zwycięzców. Jest natomiast miejsce na harmonijną współpracę między wszystkimi głównymi zwycięzcami dla dobra Europy i poszczególnych jej krajów.

W tej współpracy nie może być wyłomów w rodzaju ostatniej mowy Byrnesa, gdyż takie wyłomy grożą w przyszłości nową katastrofą. Narody europejskie mają prawo pragnąć zgodnej współpracy wielkich zwycięzców, ponieważ tylko taka współpraca daje gwarancję odbudowy pokoju, wzajemnego zaufania narodów i wiary w przyszłość.

Aleksander Then

Po siedmiu latach pierwszy raz w Łazienkach.



KLĘSKA WALLACE'A zapowiedzią zwycięstwa

Konflikt wewnętrzno-polityczny w łonie rzadu Stanów Zjednoczonych A.P. skończył się dymisją sekretarza handlu, Henry Wallace'a, czyli klęską jego koncepcji politycznej. Klęska ta nie oznacza jednak koniecznie zwycięstwa polityki sekretarza stanu, Byrnesa.

We wszystkich krajach, posiadających inną konstytucję, tak poważny rozdźwięk w łonie gabinetu doprowadziłby siłą rzeczy do dymisji całego rządu. W Stanach Zjednoczonych jest to niemożliwe. Bowiem w myśl konstytucji amerykańskiej prezydent jest jednocześnie premierem, wybieranym drogą powszechnego głosowania, zatem nie jest odpowiedzialny przed parlamentem, lecz przed całym narodem, który może mu odmówić zaufania dopiero po upływie kadencji.

W konkretnym wypadku konfliktu politycznego, jaki zaistniał między sekretarzem handlu, a sekretarzem stanu (spraw zagranicznych) jasne jest, że Wallace, sekretarz handlu, przekroczył swe kompetencje, wygłaszając publiczne przemówienie, zawierające krytykę polityki zagranicznej, czyli krytykę polityki prowadzonej przez sekretarza stanu. Rola prezydenta Trumana w załagodzeniu konfliktu nie była łatwa, gdyż prezydent czytał poprzednio tekst mowy Wallace'a i nie miał przeciw niej zastrzeżeń. Jeśli mimo to, po zaistnieniu konfliktu, zdecydował się na dymisję Wallace'a, to może to oznaczać, iż popiera politykę Byrnesa, ale może również świadczyć tylko o przekroczeniu kompetencji ze strony Wallace'a.

Zagadnienie jednak nie kończy się na dymisji Wallace'a. W tym roku bowiem odbywają się wybory do Kongresu, a za dwa lata wybory na prezydenta. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Wallace rozwinie akcję przedwyborczą na szeroką skalę, by nie dopuścić do ponownego wyboru Trumana na prezydenta. Wybory tegoroczne będą miały wielki wpływ na wybory prezydenckie za dwa lata.

Nie jest przeto wykluczone, że o ile Wallace zdoła pozyskać sobie masy wyborcze, nie Truman, lecz on uzyska najbliższą inwestyturę na kandydata demokratycznego w wyborach prezydenckich w r. 1948. Oznaczało by to jednak, że walka Wallace — Byrnes zamieni się w walkę Wallace—Truman.

A. T.

SPÓR O EPIR PÓŁNOCNY

Jedną z trudności przed którą stanęła konferencja pokojowa są żądania Grecji dania jej obszarów północnego Epiru, który stanowi południową część Albanii. Jest to kraj górzysty, ze szczytami ponad 1.000 m, poprzecinany paroma dolinami rzecznymi, z których dwie przekraczają granicę, a jedna — rzeki Vojusy — sięga daleko w głąb Epiru południowego, stanowiącego prowincję Grecji. Gospodarczo obie części Epiru są ubogie. Przeważa hodowla nad dość prymitywnym rolnictwem; górnictwa i przemysłu nie ma zupełnie. Ludność Epiru północnego pod względem wyznaniowym jest mahometańska, ze wzrastającą ku granicy greckiej domieszką wyznawców prawosławia. Narodowo są to Albańczycy, i tylko południowy zakątek, poniżej miasta Delwinon, zamieszkują Grecy, ale za to Albańczyków spotykamy na sąsiednich obszarach Grecji, a mianowicie w rejonie Margariti.

Obszar żądany przez Greków nigdy do nich nie należał, a natomiast Epir południowy zajęli oni dopiero w r 1913. Pretensje swoje uzasadniają zdobyciem tego obszaru w jesieni 1940 r. w walkach z Włochami i władaniem do wiosny 1941, kiedy to załamali się pod uderzeniem niemieckim. Albania stoi na stanowisku nienaruszalności swoich granic ustalonych w chwili odzyskania swej niepodległości.



Spór o północny Epir jest zagadnieniem nowym, dopiero teraz przez Greków poruszonym.

Żądania ich — których przedmiotem jest ta uboga część narodowo przeważnie albańskiego kraju — z powyższych względów nie są bardzo uzasadnione.

Dr. Stanisław W. Berezowski



Charakterystyczny obrazek z życia Albanii, gdzie obok tradycyjnych strojów są i nowoczesne europejskie.

WADLIWE PROPORCJE

TABELA PORÓWNAWCZA ZATRUDNIENIA ROBOTNIKÓW I URZĘDNIKÓW.

	robotników	urzędników	razem
przed wojną	516.100	46.000	562.100
obecnie	310.700	36.900	347.600
w %	.60	80	62

Cieszy nas, optymistów, każda tona wyprodukowanego żelaza, każdy metr wyprodukowanej tkaniny, każda sztuka wyprodukowanej maszyny rolniczej Im żwawiej kręcą się koła turbin i maszyn parowych, tym żwawiej biją nasze serca.

Ale jest coś, co nas martwi i niepokoi. Wzrasta produkcja, wzrastają załogi robotnicze, ale jeszcze szybciej wzrasta ilość — urzędników.

W dziewięciu grupach przemysłowych znalazło zatrudnienie: (tabela dolna).

Zatrudnienie zmalało w grupie robotniczej o 40%, ale w urzędniczej już tylko o 20%. To znaczy: relatywnie biorąc, stan urzędniczy wzmógł się ilościowo na siłach.

Szczególnie charakterystyczny jest przemysł włókienniczy. Zatrudnia on obecnie cokolwiek więcej ludzi, niż przed wojną (172.000 wobec 165.700), ale ilość pracowników fizycznych nieco zmalała (ze 157.100 na 156.100), natomiast umysłowych prawie dwukrotnie **wzrosła** (z 8.600 na 15.900).

Ciekawe będzie porównanie odsetków urzędników w ogólnym stanie pracowniczym przed wojną i obecnie. Otrzymamy następujące porównanie: (tabela górna).

	przed wojną	obecnie
przemysł mineralny	4	8
„ metalowy	10	12
„ elektrotechniczny	16	18
„ chemiczny	14	15
„ włókienniczy	5	9
„ papierniczy	8	9
„ skórzany	8	11
cukrownictwo	7	13
browarnictwo	15	18

Cukru produkujemy mniej niż przed wojną, ale ilość urzędników przemysłu cukrowniczego z 1.400 wzrosła do 2.400; to samo jest z przemysłem skórzanym, a mimo to liczba urzędników z 900 podniosła się do 1.500. I tak na każdym kroku. Nie wołamy „precz z inteligencją!" Uważamy jednak, że zbyt duży odsetek pracowników umysłowych świadczy nie o postępach mechanizacji naszego przemysłu, ale o jego zbiurokraceniu. Nie jest to wina urzędników, tylko złej organizacji, która stwarza nadmiar „papierków" przez co kadra urzędnicza rośnie szybciej od kadry tych, co produkują, przetwarzają it.p.

Nadmiar urzędników jest objawem sklerotycznym. Dowodzi on, że mechanizm źle działa, jest zbyt ciężki i skomplikowany, a przy tym kosztowny. Sprzyja temu brak przejrzystej buchalterii przemysłowej, bez której nie wiadomo, czy do tego nadmiaru nie dopłaca się per saldo. W każdym razie stosunek 1 urzędnika na niespełna 9 robotników — i to w przemyśle! — powinien zwrócić uwagę „czynników miarodajnych". **A. F.**

PO STAREMU

W Kopenhadze skończyła swe narady Światowa Rada Żywnościowa, zastanawiająca się nad tym, skąd wziąć żywność dla milionów ludzi, zagrożonych głodem.

Równocześnie w Ameryce zastanawiają się nad tym, co zrobić z setkami milionów buszli ziemniaków, zalegających składy państwowe.

Według słów sekretarza stanu dla rolnictwa C.P. Andersona, w składach od roku 1943 leżą góry kartofli, z którymi rząd Stanów Zjednoczonych nie wie co zrobić. A obecne zbiory przewyższają o około 100 milionów buszli przeciętne zbiory lat poprzednich.

Gospodyni amerykańska nie chce tych ziemniaków; płatkarnie nie mogą ich zużyć, a gorzelnie są przepełnione dostawami tegorocznymi.

C. P. Anderson chwycił się wypróbowanego środka, według niego można by uwolnić magazyny rządowe od leżących w nich gór kartoflanych tylko w jeden sposób — przez zniszczenie. Nie można było, jak w Brazylii kawą — opalać ziemniakami lokomotyw, za daleko było do morza aby je zatopić. Pozostało więc tylko jedno wyjście — użyźnić w większej części już zepsutymi kartoflami ziemię pod nowe zbiory. Miliony ton zostały wywiezione w pola, zgniecione walcami drogowymi i zaorane traktorami. Nadwyżka zbiorów ziemniaczanych zniknęła.

C. P. Anderson jest wolny od dręczącej go troski. A w Europie większość krajów rozdziela ziemniaki na kartki, by dla wszystkich starczyło.

(Time)



Miliony ton kartofli, jako nawóz.

KŁOPOTY Z HUMOREM

Chciałbym napisać dwa felietony o humorze. Aż dwa — dlatego, że w jednym mi się nie zmieści. Ale niech czytelnik się nie przeraża: nie będzie to naukowa analiza zagadnienia w rodzaju „Le rire" Bergsona lub choćby „Śmiechu, uśmiechu i zgrozy" Boya. Rzecz ma się po prostu tak, że zarówno redaktorzy jak czytelnicy żądają od autorów lekkości, dowcipu i humoru, z drugiej zaś strony wszyscy narzekają na upadek humoru i utrzymują, że niepodobna go dziś znaleźć nietylko w „Zielonej Gęsi", ale nawet w „Szpilkach" i w „Rózgach".

Lekkość dowcip i humor — piękne to i ponętne. Kto jednak ma z tym do czynienia, wie, że te trzy Gracje, gdy się z nimi wciąż obcuje, tracą z czasem wdzięk, jak go traci młodość i uroda. Lekkość przemienia się w powierzchowność, dowcip w płaskość, a humor w wygłupianie się. Ewolucja odbywa się stopniowo, ale nieuchronnie. Zbliża się wreszcie do punktu szczytowego, gdy przed uczciwym humorystą staje dylemat: albo przeobrazić się w trefnisia, albo zacząć tworzyć poważnie. Nawet Bernard Shaw nie wymigał się od tego dylematu. I jakże go rozwiązać? Trefnisiem — czyli klownem — być nie można, bo trzeba być dowcipnym humorystą; poważnie tworzyć nie można, bo trzeba być lekkim. Wyjście z sytuacji bywa często takie, że humorysta popada w pesymizm, nawet w zgorzkniałość i melancholię: tak się działo z największymi humorystami i satyrykami świata, np. ze Swiftem, Gogolem, Fredrą czy Szczedrinem. Ale o nich pomówimy następnym razem.

Pesymizm humorysty pogłębiają spostrzeżenia innego rodzaju. Przede wszystkim przeświadczenie, iż jakikolwiek powiedziałby dowcip, był on już kiedyś, gdzieś i przez kogoś powiedziany. Lektura pism humorystycznych ze „Szpilkami" na czele potwierdza to przeświadczenie. Po drugie, humorysta dochodzi częstokroć do wniosku, że humor jego jest zawodny i bezcelowy. U podstaw przecie humoru leży delikatna, wolna od wszelakiego moralizatorstwa, pedagogika. ‚Ridendo castigare mores" — śmiechem naprawiać obyczaje — dowodzili już starożytni. „Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka" — powiedział nasz Krasicki. Tymczasem cóż? Śmiejemy się od wieków z błędów ludzkich, sądzimy je mniej lub więcej dobrotliwie czy złośliwie — i, ostatecznie, jak owa babcia u Boya, dozorująca szaletów publicznych, musimy westchnąć, rozkładając beznadziejnie ręce: „Ach ludzie ludzie czy szakale! Czyż wiecznie będzie w świecie zło? Nie widzę polepszenia wcale".

Zróbmy jednak małą dygresję naukową. Prof. dr Otto von Witzling w swoim solidnym — jak wszystko co niemieckie — dziele p.t. „Einleitung in die Philosophie des Lachens", München b.r. str. XCV+674 („Wstęp do filozofii śmiechu") odróżnia dwa gatunki humoru; nazywa je „humorem z głowy" (Kopfhumor) i „humorem z serca" (Herzhumor), albo inaczej: humorem „rozumowym" i „uczuciowym". Zdaniem profesora, posługiwanie się obydwoma tymi gatunkami nastręcza niebylejakie trudności. Humor rozumowy jest wyższy od uczuciowego. Aby go bowiem użyć i zrozumieć, trzeba mieć dobrze w głowie („nur ein heller Kopf"). trzeba stać na średnim przynajmniej poziomie kultury i wiedzy, mieć maturę umysłową („Geistmaturitätszeugnis"), odznaczać się dostatecznym smakiem i gustem. Jako jeden z niezliczonych przykładów humoru z głowy profesor podaje następującą — klasyczną wedle jego mniemania — anegdotę: Pewien pastor miał kazanie do słów Pisma św.: „Wszystko, co Bóg zrobił, jest dobrze zrobione". Gdy schodził z kazalnicy, zastąpił mu drogę pokraczny garbus i zapytał z gorzkim uśmiechem: „Przypatrz mi się, księże, czy jestem także dobrze zrobiony?" — „Jak na garbusa, wcale dobrze" — odpowiedział pastor. — Naturalnie czytelnicy słyszeli już kiedyś tę anegdotę, albo ją kiedyś usłyszą. Dla prof. Witzlinga stała się ona punktem wyjścia do wielorakich rozważań teoretycznych. Człowiek, nieprzygotowany intelektualnie do przyjęcia jej — wykłada profesor — ryknie zdrowym śmiechem, i tyle. Intelektualista, obdarzony smakiem i finezją, nie tylko uśmiechnie się jak znawca, ale i odda się przez chwilę rozmyślaniom moralnym i filozoficznym :czy garbus może być w ogóle dobrze lub źle zrobiony? — zapyta: — jaki garb jest lepszy, a jaki gorszy? Jaką miarę w ocenie garbów należy zastosowywać? Tym sposobem humor wypełni swoje przeznaczenie.

Wzorem humoru uczuciowego może być — według Witzlinga — kawał poniższy: Chirurg, ściskając w uniesieniu swego przyjaciela, woła: „O, żebyś tylko kiedy złamał rękę albo nogę, zobaczyłbyś, cobym dla ciebie uczynił!" — Czytelnicy, którzy znają również i ten kawał, gdy się już z niego naśmieją, powinni się jednak — za Witzlingiem — zastanowić, czy rzeczywiście nikogo z nich nie nawiedzało czasem tajemne a gorące pragnienie, aby ukochana przez nich osoba — mąż, żona, kochanek, kochanka — złamała rękę albo nogę? Nawet obydwie ręce i nogi. Wówczas dopiero daliby poznać tej osobie, jak bezgraniczną żywią do niej miłość i przywiązanie: dzień i noc czuwaliby przy łożu cierpiącej. Zrozumiałaby ona wówczas, co może miłość. Jeśli i wobec humoru uczuciowego zajmiemy takie stanowisko medytująco-filozoficzne, jak wobec humoru rozumowego, i on również spełni swoją rolę moralną i wychowawczą. Jednakże, nie jest łatwo zdobyć się na tak aktywny stosunek do humoru. Stąd też wypływa owa pierwiastkowa uwaga Witzlinga o trudnościach, jakie nastręcza posługiwanie się humorem; stąd w ogóle tytuł jego dzieła: „Wstęp do filozofii humoru".

Żadnych natomiast trudności nie napotkamy, wkraczając w dziedzinę humoru, zwanego jędrnym. Jest to dziedzina najobfitsza, najpopularniejsza i niewyczerpana, pod względem zaś wartości śmiechotwórczych — niezastąpiona. Nie wymaga wysiłku — ani rozumowego ani uczuciowego. Dla zawodowego humorysty mogłaby się stać nieprzebraną skarbnicą inwencji. Wadę jej wszakże stanowi to, że nie nadaje się do przyzwoitego towarzystwa, do druku, do publicznego rozpowszechniania. Tak chce dobre wychowanie, obyczajność i tradycja. Ostatnio „Szpilki" usiłowały obalić te konwenanse, ogłaszając „Bal w operze" Tuwima. Spostrzegam się, że po raz trzeci wymieniam w felietonie „Szpilki". Czyżbym chciał je uczynić przedmiotem dowcipu? Bynajmniej. Następny — pesymistyczny i melancholijny — felieton o przyczynach upadku humorystyki w Polsce zamierzam dedykować „Szpilkom".

Jerzy Wyszomirski

Ostatnie boje

(Wspomnienia uczestników walk)

PRZED KAPITULACJĄ

Entuzjazm wśród naszych wojsk, spowodowany połączeniem się z grupą generała Kleberga w dniu 30 września — przycichł wobec grozy rzeczywistości. Grupa gen. Kleberga liczyła 8000 ludzi. Do gen. Kleberga przyłączył się gen. Kmicic-Skrzyński, dowódca brygady podlaskiej wraz z 9 p.s.k., odłączony od swej brygady po bitwie pod Mienią w dniu 13 września. Nie mieliśmy artylerii, a nade wszystko brakowało nam amunicji.

Jadący po osi marszu patrol wjechał w wysoki las adamowski, igrający wśród gęstwiny potokami światła. Dowódca patrolu st. ułan Suchodolski przed wjechaniem w las odegrał małą komedię, mającą być dowodem doświadczenia żołnierskiego. Patrol podjechawszy kłusem na kilkadziesiąt metrów do lizjery lasu, zawrócił nagle i galopem rzucił się do ucieczki, nie doczekawszy się obstrzału od nieprzyjaciela, rzekomo sprowokowanego tym manewrem — ułani zawrócili i stępa wjechali do lasu.

— Do walki pieszej! Z koni!

Za chwilę koniowodni pod dowództwem kaprala Wysockiego pogalopowali w głąb lasu.

— Tyralierą marsz!

Spieszony pluton w sile czternastu ułanów ruszył naprzód. Znowu wybuch sztokesa. Znowu palba karabinowa. Na prawo od lasu idzie dzielny i niezawodny podchorąży Zaremba z obrośniętą gębą. Na lewo od drogi kapral Korzonek z erkaemem. Gęsty zagajniczek świerkowy, potem kilkadziesiąt metrów lasu i pole, na którym okopali się Niemcy. Dalej wieś Tchórzewo, gdzie ustawiono sztokesy i czołgi nieprzyjaciela. Wraz z nami idzie do natarcia 3 pluton podporucznika Boguckiego. Widzę go zaledwie o kilka kroków w zagajniku. Za chwilę świst i wybuch. Jęk. Szara, spopielała, wykrzywiona z bólu twarz przyjaciela. Odwracam głowę.

— Podchorąży Zaremba do porucznika Boguckiego. Odprowadzić na punkt opatrunkowy!

Jakiś ranny ułan krzyczy z bólu czy ze strachu jak dziecko. Wielkie konary, ścięte pociskami, walą się nam na głowy. Coraz bliżej do lizjery lasu. Wybuch silniejszy niż dotychczasowe... To ciężka artyleria wali po lizjerze lasu. Porucznik Majkowski podciąga z 1 plutonem. Naprzód, naprzód! Krótki świst. Wybuch. Majkowski śmiesznie podskakuje .

Wtem, co to? Padam na ziemię wraz z jakimś strasznym wybuchem. Czuję przejmujący ból w krzyżu. Jestem ranny?... Znowu wybuch i krzyk tuż koło mnie. Czuję potworny strach i potężne pragnienie życia. Strach zrywa mnie na nogi i pędzi w tył. Znowu wybuch... Po kilkunastu metrach niedołężnego biegu padam bezwładnie na ziemię. Podbiega ułan Dmochowski.

— Panie poruczniku, czy pan ranny?

— Nie. Zdaje się,. że kontuzja Nie mogę chodzić. Gdzie pan pułkownik?

— Tutaj w lewo o jakieś 200 metrów.

— Dmochowski, prowadźcie mnie dalej.

Za chwilę leżałem pod drzewem a nade mną stał dowódca pułku w otoczeniu swego zastępcy, adiutanta pułku i oficera ordynansowego. Paliłem chciwie machorczaka podanego mi przez adiutanta. Zameldowałem o stratach szwadronu. Ani jednego oficera.

—Porucznik Mączka obejmie 2 szwadron i poprowadzi natarcie — rozkazał pułkownik.

A więc akcję ma wykonać Mączka. Odważny, zdyscyplinowany oficer zawodowy, dla którego wojna, choćby nawet taka jak ta była emocjonującą imprezą sportową. Porucznik Mączka nie rozumował, nie poddawał analizie otaczające go zjawiska. Usłyszawszy rozkaz, stuknął ostrogami, zasalutował i wykrzyknął:

— Tak jest, panie pułkowniku! —i pobiegł na lizjerę lasu, gdzie resztka drugiego szwadronu, cofnąwszy się nieco w gąszcz, trwała w oczekiwaniu na natarcie Niemców, nie mających zamiaru narażać życia. Siedzieli wygodnie na swych stanowiskach przy cekaemach, a wiatr przynosił do linii polskich ich gruby, chamski śmiech, targający nerwy pewnością absolutnej przewagi.

Porucznik Mączka, zlustrowawszy szwadron, liczący teraz w szyku pieszym niespełna 30 ułanów, i przyjąwszy raport od kaprala, wydał rozkaz natarcia.

Za chwilę zaterkotały niemieckie karabiny maszynowe. Szwadron cofał się w rozsypce do lasu. Na niezoranym rżysku leżał trup porucznika Mączki, ugodzony przez pierś wiązką pocisków z cekaemu.

W kwaterze gen. Kleberga już od kilku godzin toczyły się narady kapitulacyjne. W chwili gdy padał porucznik Mączka, dwóch polskich parlamentariuszy udawało się do Gułowa na stronę niemiecką, aby przyjąć w imieniu generała warunki kapitulacji.

Janusz Jeżewski



Ogólny widok Warszawy po kapitulacji w 1939 r.



10 pułk ułanów pod Wolą Gułowską w ostatnim dniu walki 5.X.1939 r.

(Rysunki uczestnika walk)

POD BOMBAMI

(fragment pamiętnika)

— To początek końca — przemknęło mi przez głowę. Wjechaliśmy na ocienioną drogę, lecz cóż to znaczyło, gdy lotnik widział z 50 m. każdy kamień. Byłem przeświadczony, że nie uniknę katastrofy; chodziło mi jedynie o zmniejszenie jej rozmiaru. Podałem komendę rozczłonkowania się.

W prawo i w lewo, jak okiem sięgnąć, biegły polami pochylone postacie, jakby przyduszone do ziemi ciężarem atmosfery. Miejscami z błyskawiczną szybkością,



Działko ppanc. 10 p. ułanów w opłotkach Woli Gułowskiej w dniu 4.X.1939 r.

przebiegały oddziałki konne. Kopyta zda się nie dotykały ziemi, tylko tuman kurzu znaczył szlak ucieczki. Często cwałował koń bez jeźdzca jak po szarży; rozlegał się turkot wozu, który ponosiły spłoszone konie bez woźnicy. Często wybuch bomb zmiatał całą grupę z pola widzenia. Wspólnym celem wszystkich uciekających była puszcza, która jak przed wiekami, jak w powstaniu styczniowym, miała otoczyć nas swym opiekuńczym mrokiem.

W górze odbywały się bez ustanku orgie lotnictwa. Bomby sypały się na ziemię, niby gruszki i wybuchały jak prochownie. Jechaliśmy po tym dnie piekieł, wpatrując się jak urzeczeni w straszny nieboskłon, choć słońce świeciło tak samo dobroczynnie jak rano. Był on straszniejszy niż na plakatach propagandowych LOPP. Bardziej przerażający, niż najbardziej wyreżyserowane klęski żywiołowe na filmach. Był to nowy żywioł — potworny żywioł techniki.

Usiłowaliśmy jechać kłusem, lecz mało który zaprzęg zerwał się do biegu. Część zwiadu pomknęła gdzieś naprzód, część zdołałem złapać. Byli to kapr. Bebrenthal i bomb. Wollschlager. Urośli oni w tej chwili do roli adiutantów. Co chwila cwałowali do tyłu i donosili, co się dzieje w kolumnie, rozciągniętej na kilometr.

Drogą biegli, gnani ogniem i przerażeniem piechurzy. Spotniali, zziajani, opuchli, dobywali resztek sił, aby ujść przed pogonią. Wśród nich wielu było rannych. Rozkazałem przyjmować ich na działa mimo wyczerpania koni.

Wzdłuż drogi i toru walały się porzucone biedki, podstawy od cekaemów, tornistry, łopatki, hełmy. Opodal na ściernisku stała zwrócona do nas twarzą, głowa ludzka bez jakiejkolwiek innej części ciała. Polem biegł orkiestrant, który z całej swojej świetności dźwigał mosiężną trąbę. Na środku strumyka, koło mostku tkwił wóz bez koni. Sierżant błagał o konie, aby uratować jakiś cenny ładunek. Zaśmiałem się, w tejże bowiem chwili dopadł mnie Bebrenthal z meldunkiem; że ostatni zaprzęg ustał. Bez namysłu kazałem jeszcze zostawić, aby wzmocnić pozostałe o brakujące pary koni. Koło folwarku wybiegł na drogę major Ejsmond. Pod drzewem stało jedno jego działo. Na wzgórzu za nim widniało straszliwe spustoszenie.

— Zajmij pan stanowisko.

— Tak jest, panie, majorze, niech tylko dociągnę do lasu.

Czy miałem jednak dojechać do lasu, czy ktokolwiek miał tam dotrzeć? Bogu tylko było wiadome.

Wyjechaliśmy już ze zbawczej alei i posuwaliśmy się gołym polem. W oddali czerniał róg lasu. Uciekający kierowali się doń na ukos, lecz zaprzęgi musiały pilnować się drogi. Z różnych stron połyskiwały czerwone cielska bomb niby kły bestii, która szukała coraz nowego żeru pod soba. Gdzieś przed nami wzbijał się czarny obłok pożaru. Od puszczy dochodziły opętańcze eksplozje.

Major A. Zawilski

ZOSTALIŚMY NA BOKU

...Rozkazy na odprawach i nawet w terenie wydawano regulaminowo i starzy, garnizonowi żołnierze mieli zapewne złudzenie, że jeszcze prowadzimy wojnę według planu. Ale w wykonaniu było inaczej. Gdy się dochodziło do „nieprzejrzystego terenu“, do zakrzaczeń czy zabudowań, oficer krzyczał, jak go uczyli: „Bagnet na broń“! A bagnetów nie było.. „Patrol, nawiązać łączność z prawym plutonem“ — a prawego plutonu nie było... Był nasz cekaem. Wymierzył z niego porucznik, przeciągnął serią... Podawałem mu amunicję. Parę kroków od nas kilku cstrzelców w krzyk :„nie strzelaj, taki synu, wyrżną nas tu!“ — i jeden z nich karabinem się zmierza. To był właśnie moment klęski: wszyscy na wszystkich i nagle własne życie — kiedy nie widać już sensu ofiary — staje się niesłychanie cenne i od światów wszystkich ważniejsze. Wtedy wszystko można popełnić. Mógł tamten strzelić w nas dlatego, że strzelamy do Niemców i narażamy go na zemstę. Nie strzelił. Zresztą — niedaleko coś huknęło, cekaem zapiszczał, zaciął się. Naszych nie widać, Niemcy coraz bliżej, droga odwrotu jedna: łożyskiem strumyka, na brzuchu, z powrotem do Kocka. Kock już się dopalał. Świnie wściekłe i przestraszone pędziły naoślep uliczkami; połowa konia niedorzecznie sterczała pod murem. Natknęliśmy się na dowódcę batalionu. Był sam, nieogolony, za skronie się trzymał i oczy mu łzawiły. Kazał nam zająć placówkę i zwinąć ją, gdy się wszystko wojsko wycofa. Więc siedzieliśmy do późna w noc, przemokli od czołgania, milczący. Tylko sierżant klął...

Przeszedłem przez zgliszcza na stronę jeszcze naszą. Jedyna nasza strona, ostatnich kilka kilometrów kwadratowych wolnej Polski. Wojska tu było moc: marynarze, lotnicy, rusznikarze z warszawskich fabryk, biura jakieś ewakuowane, żony oficerskie w futrach i boso, z nogami odparzonymi... Porucznik kawalerii huknął na mnie z konia, dlaczego się włóczę i com za jeden? Więc przestałem się włóczyć, usiadłem w rowie... Szepty szły z ust do ust, ktoś się zastrzelił, inny był już w cywilnym ubraniu. Więc co robić? Spotkałem kolegę, ucieszyliśmy się, ucałowali, we dwóch raźniej. „Tam musi być batalion“ — powiada i pokazuje palcem sąsiednią wieś. O zmroku przyszliśmy tam; baonu nie było; tylko gen. Kleberg, dowódca nasz, siedział w chacie złamany zupełnie, żółty, stary. Przed paroma



Ostatni transport rannych.

minutami zameldował Niemcom gotowość kapitulowania. Żołnierze już wiedzieli, rozbijali cekaemy, palili karabiny... W nocy zabłysła nad nami biała rakieta i gruchnęło parę niemieckich granatów.

Następnego dnia, 6 października 39 roku rano, strzałów już nie było słychać. Tłumy żołnierzy przewalały się na wszystkie strony. Nikt nie przemawiał, nie żegnał sztandarów, nie salutował. Jechał łazik drogą, przyczepiłem się do niego z jednej strony, kolega z drugiej — jechaliśmy, aby dalej; nikt nie myślał dokąd. Stanęliśmy dopiero, gdy z rowu krzyknięto: halt! — Podszedł młody feldwebel z rewolwerem i odprowadził nas na bok. Zostaliśmy na boku pięć i pół lat.

Wł. Krzemiński

Powrót z tułaczki.



PROBLEMY POKOJU

Polskę odwiedził poseł brytyjskiej Labour Party K. Zilliacus, reprezentujący lewe skrzydło tego stronnictwa.

K. Zilliacus w ciągu 19-tu lat był członkiem sekretariatu Ligi Narodów i w tym czasie napisał kilka książek poświęconych stosunkom międzynarodowym i polityce zagranicznej.

Zgodnie z założeniami naszego pisma, zmierzającymi do możliwie wszechstronnego oświetlenia wszelkich zagadnień, podajemy poniżej wynurzenia gościa brytyjskiego, napisane dla „Tygodnia" na temat problemu pokoju światowego z punktu widzenia socjalisty, widzącego rozwiązanie zagadnień współpracy międzynarodowej na gruncie ideologicznym.

Ostatnia wojna światowa stworzyła dwie potęgi światowe i ponowną falę rewolucji społecznej. Te dwie potęgi światowe to Stany Zjednoczone Ameryki i Z.S.R.R. Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i północnej Irlandii stoi co prawda na czele Brytyjskiego Imperium, które jest większe niż Stany Zjednoczone czy też Rosja Sowiecka, lecz część ludności związana wspólnie przez Pax Britannica nie jest solidnym blokiem, poruszanym jedną lojalnością i posłusznym jednej władzy, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim.

To jest raczej świat wewnątrz świata, świat odrębny, rozrzucony na pięciu kontynentach i siedmiu morzach, zawierający ludy prawie wszystkich ras, języków i wyznań, na różnych stadiach politycznego, społecznego i kulturalnego rozwoju.

Na czele stoi Zjednoczone Królestwo i jego siostrzane państwa — Dominia. Są one niezależne, posiadają równe prawa z państwem macierzystym. Po drugiej wojnie światowej zaczynają aktywnie korzystać ze swego prawa posiadania własnej polityki zagranicznej, które zostało im dane po pierwszej wojnie światowej. W sprawach międzynarodowych liczą oni tak samo na Stany Zjednoczone jak i na Wielką Brytanię.

Wierzę, że nie tylko brytyjska Partia Pracy i rząd, ale także większość opozycji konserwatystów zrozumieją, że nadszedł czas, aby usunąć brytyjski imperializm z Indii i aby oddać pełnię władzy ludom Indii. To właśnie ma miejsce obecnie.

Bliska niepodległość Indii, upadek imperializmu japońskiego i wyłonienie się narodowych Chin, jako nowej wielkiej potęgi dalekiego wschodu, oznacza, że brytyjski, francuski i holenderski imperializm w wschodniej Azji zniknie, w ciągu naszego życia a może nawet wcześniej, tym bardziej, że ludy Burmy, Malaii, Indonezji i Indochin są stale coraz bardziej przeświadczone o konieczności i potrzebie prowadzenia własnej polityki.

Stare formy imperialnego wyzysku w ciągu nieokreślonego bliżej jeszcze czasu zostaną zastąpione albo przez własne rządy i członkostwo organizacji Narodów Zjednoczonych, albo przez formy międzynarodowej kontroli, prowadzące ostatecznie do stworzenia własnego rządu i do wstąpienia do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

To są elementarne dążenia, których żaden rząd nie może powstrzymać, ani nawet zahamować na dłuższy czas.

Tego rodzaju rozwój wypadków światowych stawia Wielką Brytanię w specjalnie trudnej i odpowiedzialnej sytuacji. To znaczy, że podczas gdy dwa państwa olbrzymy — Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka będą miały największe wpływy w sprawach międzynarodowych cokolwiekby nie uczyniły, my możemy utrzymać pozycję czołową tylko, jeżeli będziemy się kierowali mądrością polityczną rekompensując w ten sposób straty poniesione w naszej sile imperialnej.

Wielkość naszych trudności jest miarą naszych możliwości. Lecz właściwie istnieje tylko jeden problem pokoju. To jest problem stosunku Wielkiej Brytanii i Ameryki do rewolucji społecznej w Europie i Azji. Od rozwiązania tego problemu zależy kwestia pojednania celów i polityki dwóch gigantów — Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej. Od ich wzajemnych stosunków zależy pokój świata.

Wierzę, że Wielka Brytania może i musi znaleźć rozwiązanie tego problemu, ponieważ my jesteśmy częścią rewolucji społecznej, możemy się nadal nazwać jej zachodnią awangardą. Naród brytyjski wybierając rząd brytyjskiej Partii Pracy znaczną większością głosów, dokonał czynu historycznego.

Polityka zagraniczna rządu brytyjskiego Partii Pracy jak dotąd, — powiedziałem to kiedyś w Izbie Gmin, — nie posiada żadnego jasnego planu czy celu, lecz jest ślepo popychana siłą inercji imperjalnej. Polityka zagraniczna więc, nie tworzy nowych szlaków dla pokoju światowego lecz zagłębia się w dawne koleiny, powracając do wzorów XIX wieku, z przed obu wojen światowych. Nie jest mi przyjemnie mówić o tych rzeczach tutaj, lecz wydaje mi się, że powinniście wiedzieć to wszystko i czuję, że jest moim obowiązkiem, aby być szczerym z wami, ponieważ wy jesteście naszymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi. Poza tym sądzę, że prawda jest mniej zła od tego co byście mogli o nas pomyśleć na podstawie fałszywych wiadomości. Byłoby niesprawiedliwie powiedzieć, że brytyjska Partia Pracy jest imperialistyczna. My nie jesteśmy imperialistami. Lecz nie jest dla nas rzeczą łatwą nauczyć się, jak działać, jako międzynarodowi socjaliści, w sytuacji niesłychanie skomplikowanej i trudnej dla naszego kraju.

W związku z wydarzeniami międzynarodowymi, wzrasta duże zaniepokojenie wśród społeczeństwa, powstaje ostry i szeroko rozpowszechniony krytycyzm wobec stanowiska czułości okazywanego gen. Franco, wobec złej i pogarszającej się sytuacji w Grecji, wobec wydarzeń w Palestynie, wobec nieudania się próby zreformowania ministerstwa Spraw Zagranicznych i służby dyplomatycznej. Ci, którzy krytykują, są również coraz bardziej niezadowoleni ze zwiększającej się zależności Wielkiej Brytanii od Stanów Zjednoczonych. My, Labour Party, czujemy, że powinniśmy mieć traktaty handlowe i bliskie stosunki gospodarcze z socjalistycznymi państwami Europy środkowej i z Rosją Sowiecką, aby przeciwstawić się kapitalizmowi amerykańskiemu, który może stać się niebezpiecznym w następnym kryzysie gospodarczym. A my pamiętamy słowa marszałka Smuts'a wypowiedziane w 1943 roku, że układ angielsko-amerykański będzie niebezpieczny dla pokoju światowego i uczyni z Anglii wasala Stanów Zjednoczonych.

Bardziej zaawansowana szkoła myśli robotniczej żąda rozważnej socjalistycznej polityki zagranicznej, która by współpracowała z krajami społecznej rewolucji w Europie. Lecz ta szkoła jest podzielona na dwa odłamy — na tych którzy sądzą, że społeczna odbudowa może być wykonana tylko przez partie socjal-demokratyczne, pozostawiając na uboczu „dyktatorskich komunistów". Chcą uczynić to w Europie zachodniej aby stworzyć „socjaldemokratyczną" Europę zachodnią, która byłaby mediatorem pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką. To jest popularny pogląd pośród intelektualistów Labour Party i grupy „Tribune".

Dlatego ci z nas, którzy są uważani za radykalnie lewicowych przedstawicieli Labour Party żądają stosowania polityki zagranicznej Partii Pracy, jak to zostało sprecyzowane w sprawozdaniu p.t. „Międzynarodowy powojenny porządek" (The International Post War Settlement), złożonym przez Komitet Wykonawczy i przyjętym przez Kongres Partii w grudniu 1944 roku. To sprawozdanie mówi, że wszystko zależy od współpracy Wielkiej Trójki, a dalej, że socjalizm jest fundamentalną koniecznością dla osiągnięcia celów międzynarodowych i dla usunięcia przyczyn wojny.

Dwukrotnie w ciągu naszego życia widzieliśmy, że wojna jest złączona z naturą społeczeństwa kapitalistycznego. Dlatego Labour Party jest przekonana, że tylko wtedy, gdy rusztowanie naszej cywilizacji będzie socjalistyczne, możemy mieć nadzieję na dobrobyt gospodarczy i na spokój, którego wszystkie państwa chcą strzec.



K. Zilliacus, poseł angielskiej Labour Party.

Konkretnie to oznacza, że europejskie regionalne zarządzenia w Organizacji Narodów Zjednoczonych powinny być oparte na anglo-sowieckim i francusko-sowieckim sojuszu, popierając socjalistyczną odbudowę w Europie jako konieczną podstawę dla stworzenia demokracji i wolności.

Umowa europejska poruszyłaby oczywiście i takie sprawy międzynarodowe jak transport, węgiel, stal, produkcja zboża, międzynarodowa kontrola gospodarcza Zagłębia Ruhry, sprawa reparacji w Niemczech, stałe rozbrajanie Niemiec. Będzie popierała odbudowę socjalistyczną w Niemczech popieraną przez wszystkie siły lewicy, głównie zaś przez socjalistyczną Partię Jedności gotową przyjąć nowe granice Niemiec. W końcu tego rodzaju układ dążyłby do usunięcia granic, do stworzenia zjednoczonej socjalistycznej Europy.

Ta polityka nie powstanie dziś lub jutro, lecz warto dla niej pracować, ponieważ to jest jedyna polityka, która odniesie sukces. A my mamy czas. Mamy przynajmniej dziesięć albo piętnaście lat, w czasie których możemy sobie pozwolić na popełnianie błędów, chociaż im wcześniej przestaniemy błądzić, tym lepiej.

MY SAMI W NOWEJ GOSPODARCE

II. WSZYSTKIMI DROGAMI DO RZYMU

KTÓRĘDY DO NOWEGO USTROJU?

Nowe ustroje społeczne powstają z dążeń, woli i walki nowych sił społecznych. Kiedy wkracza do historii nowa, młoda siła społeczna — chce po swojemu rzeźbić życie. Chce dobra całego narodu — tak, jak ona to dobro rozumie, chce nowego ładu politycznego, nowego porządku gospodarczego, nowego człowieka. Chce jednym słowem, całe życie zbiorowe uporządkować na nowo według swoich ideałów — dla niej najwyższych, godnych walki i ofiar. Ma do tego prawo, bo każdy ma prawo i obowiązek walki o swe ideały. I tak jest dobrze dla narodu, bo zawsze na jego czele staną młode siły społeczne i młode ideały wyzwalające największej najlepszej, najmłodszej, energii mas ludzkich. Ten nowy ład polityczny, nowy porządek gospodarczy, nowy typ człowieka — to razem — nowy ustrój społeczny.

Wszystko co robi nowa warstwa, nowa siła społeczna— by stworzyć nowy ustrój — jest jej ruchem społecznym. Wszystko jedno gdzie: w polityce, gospodarce, czy kulturze. To wszystko jest jeden wielki ruch społeczny w drodze do stanowiska podmiotu i twórcy nowego życia. Poczucie jedności całego ruchu społecznego dojrzewa powoli. Trwa namysł i spory — którą drogą trzeba iść do nowego ustroju? Gospodarczą? Polityczną? Kulturalną? — Co najważniejsze — zdobycie władzy, przebudowa gospodarki ,czy wychowanie nowego człowieka? Którędy droga do nowego ustroju?

AMBICJE MŁODYCH

W czasach młodości wielkich ruchów społecznych — każdy ruch — polityczny, gospodarczy, czy kulturalny — uważa się za coś odrębnego, „samego w sobie", najważniejszego, każdy chciałby się uważać za główną, a choćby jedyną drogę do nowego ustroju.

RUCH LUDOWY

Podobnie było w młodych latach ruchu ludowego. Pisząc „ruch ludowy" mam na myśli wielki ruch społeczny całego ludu pracującego: chłopów, robotników, pracowników umysłowych, rzemieślników. Mam na myśli wszystkie ich ruchy: polityczne, gospodarcze: spółdzielczy i zawodowy, kulturalny: organizacje oświatowe, młodzieżowe, uniwersytety chłopskie i robotnicze.

Poczucie jedności tych wszystkich ruchów dopiero zaczyna dojrzewać. Dawniej było gorzej. Nie mówię o różnicach ideologicznych, ale nawet każda dziedzina ruchu — polityczna, gospodarcza, kulturalna — uważała się za conajmniej podstawową, o ile nie wyłączną. Były partie ludowe, które nie uznawały spółdzielczości, a działacze kulturalnych uważały za nieszkodliwych maniaków. Były ruchy zawodowe, które ze związków zawodowych chciały zrobić oś świata. Były ruchy kulturalne, które głosiły, że najpierw trzeba zmienić człowieka — a reszta sama się zrobi. Były ruchy gospodarcze...

PANKOOPERATYZM

Tak. Spółdzielczość najdalej zaszła i najdłużej trwała w swych młodzieńczych ambicjach. I nic dziwnego. Rodziła się w czasach, kiedy gospodarka zdawała się być początkiem i końcem ludzkich spraw. W czasach, w których głoszono zupełną niezależność gospodarki od polityki i od moralności. Kiedy gwarantowano na wieki świętość i nietykalność jej wewnętrznych praw. „Zmieni się gospodarka — zmienia się samo wszystko dokoła. A gospodarka może się zmienić tylko sama, od wewnątrz" Takie rozumowanie było fundamentem „pankooperatyzmu" Gide'a i innych, którzy uważali, że stworzenie nowej, socjalistycznej formy przedsiębiorstwa jest wystarczającą rewolucją społeczną. Bo to jest przedsiębiorstwo samych pracujących, a więc korzystniejsze dla pracujących, niż przedsiębiorstwo kapitalistyczne. A więc zgodnie ze świętym prawem wolnej konkurencji to nowe przedsiębiorstwo musi wypierać wszystkie inne — poczynając od sklepików — kończąc na kopalniach węgla. A wtedy nastanie „Rzeczpospolita spółdzielcza" — nowa, odrębna forma socjalizmu, wszystko jedno, jaki będzie rząd, jaka szkoła. Spółdzielczość wystarczy sobie sama, sama w sobie jest pełnym ruchem społecznym zdolnym zmienić świat.

Polityka jest tylko przeszkodą na drodze spółdzielczości do nowego ustroju. Spółdzielczość walczy „koszykiem od zakupów", przemawia niższą ceną, zdobywa zwrotami od zakupów. Wszystko jedno co i jak myślą polityczne chłopi i robotnicy. Po co zatrzymywać bogobojną gosposię z jej koszykiem w progu sklepiku spółdzielczego, deklamując solidarność z „socjałami"?

Nie. Spółdzielczość sama, spółdzielczość osobno, spółdzielczość wszystko.

TERAZ MYŚLIMY INACZEJ...

Teraz nikt poważny wśród spółdzielców nie myśli już w ten sposób. Teraz wiemy, że jest inaczej. Nie sztuka. Mamy za sobą od czasów Gide'a kilka dziesiątków lat doświadczeń i wielkich przewrotów.

Teraz wiemy, że spółdzielczość nie może, a nawet nie powinna opanować przemysłów kluczowych. A bez uchwycenia w garść przemysłów kluczowych, nie ma przebudowy ustroju gospodarczego. Przemysły kluczowe musi trzymać w ręku Państwo Ludowe. Droga, która do nich wiedzie jest drogą polityczną.

Teraz wiemy, że spółdzielczość nie może sama opanować zwykłej konkurencji nawet wszystkich przedsiębiorstw niekluczowych. Nie może sama wyprzeć całej inicjatywy prywatnej. Może zato wraz z Państwem Ludowym zmusić ją do służby interesom narodu pracującego. I to jest bardzo dużo, ale to nie jest ta „Rzeczpospolita spółdzielcza", którą prorokowali pankooperaści.

Teraz wiemy, że spółdzielczość nie mogła się rozwijać dowolnie, prawem wolnej konkurencji, bo sam kapitalizm zawiesił prawo wolnej konkurencji, kiedy mu przestało służyć. Bo kapitalizm nie myślał czekać, aż go organicznie zlikwidują, ale chwycił się — musiał się chwycić — kontrewolucji. Przyszedł faszyzm, na który jedyną radą była siła polityczna ludu pracującego. Ruchy gospodarcze i kulturalne same były bezsilne.

Teraz wiemy — i na tym polega dojrzałość ruchu ludowego — że do nowego ustroju trzeba iść wszystkimi drogami jednocześnie.

WSZYSTKIMI DROGAMI DO NOWEGO USTROJU

Władza państwa nie jest wszechmocna. Samo zdobycie władzy bez pełnej przebudowy gospodarczej — na wszystkich piętrach gospodarki — nie tylko na najwyższym piętrze przemysłów kluczowych — raczej oddala, niż zbliża do nowego ustroju. Bo na państwo ludowe wali się ciężar odpowiedzialności za nieuleczalne choroby starej gospodarki. Znamy te gorzkie doświadczenia umiarkowanych rządów socjalistycznych w Niemczech i innych krajach.

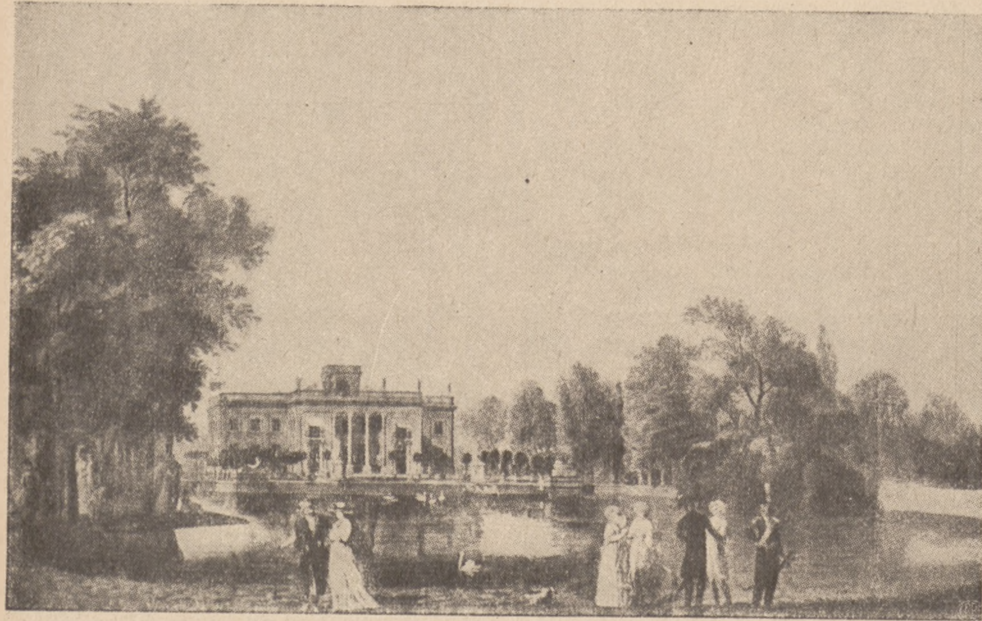
Nie ma pełnej przebudowy gospodarczej — bez pomocy ludowych sił politycznych i bez udziału państwa ludowego. Nie ma pełnej przebudowy gospodarczej — bez wychowania nowego człowieka, zdolnego do tworzenia w nowym, lepszym ustroju.

Nie ma wychowania nowego człowieka — bez przebudowy politycznej i gospodarczej. Wroga władza nie pozwoli rozwijać się rewolucyjnej pracy kulturalnej, stara, rozkładająca się gospodarka — demoralizuje. Nowego człowieka nie wychowają kazania i broszurki propagandowe. Człowieka wychowuje także i przede wszystkim rzeczywistość.

Wszystkimi drogami do nowego ustroju. Wszystkimi ruchami trzeba iść razem i jednocześnie. Nie ma „osobnych", „samych w sobie" ruchów ludowych. Jest jeden wielki ludowy ruch spółdzielczy. Spółdzielczość jest jego gospodarczym ramieniem.

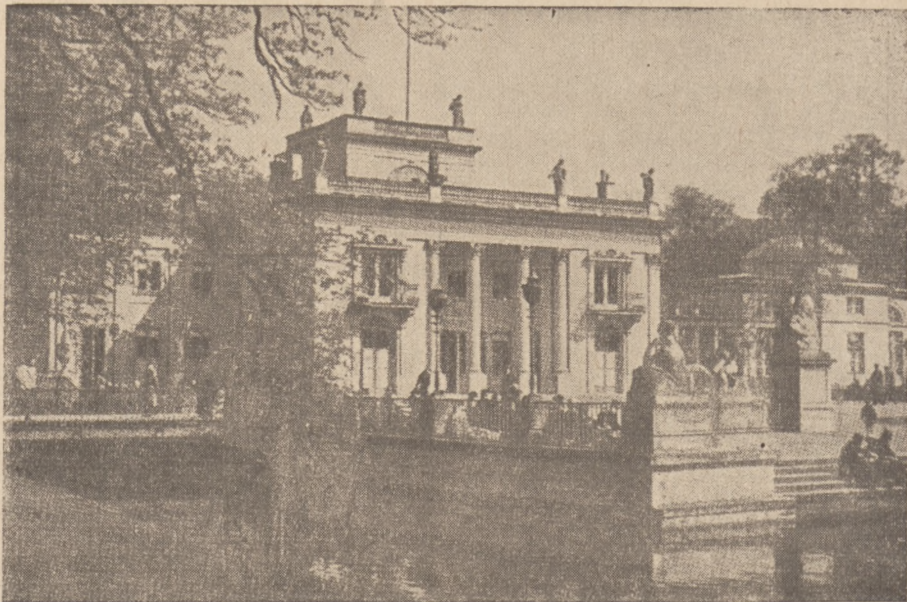
C. d. n.

Adam Rapacki



Widok Łazienek według obrazu Gizel'a z XVIII wieku.

(Zdjęcie na stronie pierwszej przedstawia fragment „Teatru na wyspie“ w Łazienkach).



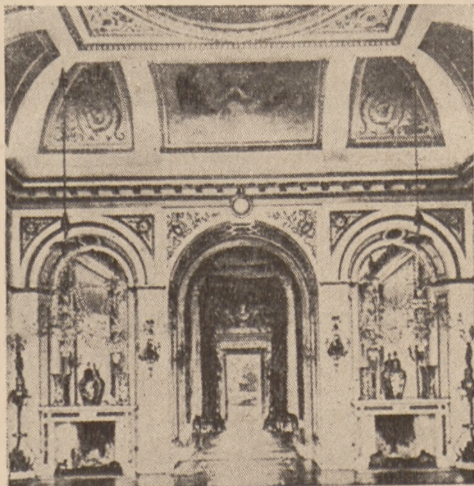
Pałac łazienkowski bezpośrednio przed wojną.

PO SIEDMIU LATACH ŁAZIENKI OTWARTE...

W latach okupacji warszawianin oglądał Łazienki przez kraty, od strony Alei Ujazdowskich, i widział tylko kraty i drzewa, bo pałac królewski i inne budowle w parku leżą głęboko i daleko, ukryte za drzewami. Tylko gdy się szło Agrykolą, w prześwicie drzew ukazywał się pomnik Sobieskiego i z dala za nim fasada północna pałacu — jakże odmienna od południowej, niewidzialnej czasu okupacji, a tak dobrze znanej każdemu, spopularyzowanej na niezliczonych fotografiach i widokówkach. Gdy się mówiło lub myślało: „Łazienki“ — w wyobraźni stawała zazwyczaj ich elewacja południowa: boczne skrzydła, cofnięte w tył, wysunięty naprzód fronton z podsieniem, wsparty na czterech kolumnach, z dwoma balkonami na pierwszym piętrze, gdzie się mieściły pokoje mieszkalne i prywatne apartamenty Stanisława Augusta a wśród nich jego sypialnia i ów gabinet z biurkiem-stołem, wykonanym w drzewie gruszkowym według rysunku samego króla. Przed tą elewacją roztacza się piaszczyzna, schodząca do stawu, z którym zawsze kojarzyły się w wyobraźni łabędzie. Cała ta strona pałacu wdzięczy się powabem, lekkością, beztroską, igraszką. Gdy się na nią patrzy, przychodzą na pamięć płoche rytmy wiersza, opiewającego łazienkowskie swawole rokokowego króla:

Słoneczną aleją idzie król Staś,
— A przy nim piękna dama.
— O pani, promienie twych oczu zgaś,
Bo spłonę od nich, twój sługa, twój paź,
Bella, zostaniesz sama...

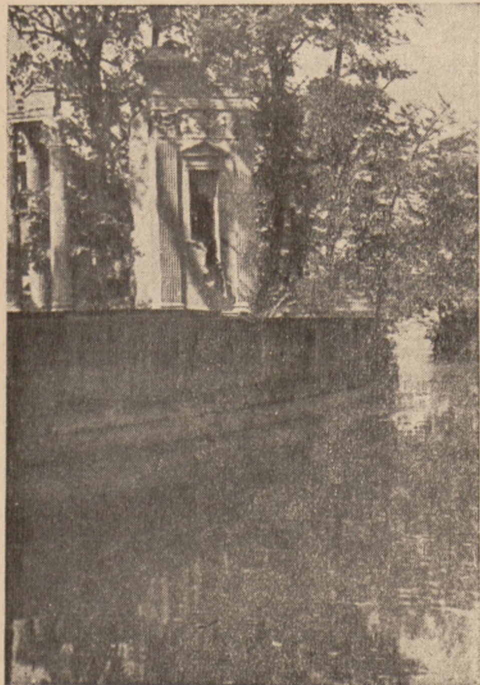
Inna jest fasada północna pałacu. Starsza o cztery lata od południowej (wzniesiona w r. 1788), może dlatego dojrzalsza i kontrastowo poważna. Powaga jej pochodzi być może i stąd, że zwrócona jest na północ, że słońce na murach jej nie igra. Odznacza się surową monumentalnością i prostotą, którą uwydatnia szereg pilastrów korynckich, przecinających jednolity fronton z kolumnowym portykiem, uwieńczonym trójkątnym rzeźbionym przyczółkiem. Historycy sztuki uważają, że fasada północna pałacu „jest ostatnim słowem stylu stanisławowskiego w architekturze zewnętrznej“, a więc rzeczą doskonałą. Przegląda się ona wprost w wodzie, która jest chłodniejsza tutaj niż po stronie południowej, tchnąca jak gdyby pleśnią i mrokiem. Tak więc pałac łazienkowski ma dwa oblicza — różne i być może symboliczne: podobnie dwoiste było życie i panowanie jego twórcy — puste, lekkomyślne i egoistyczne, a zarazem pełne troski o kulturę i postęp narodu i od klęsk ciężarne.



„Sala Salomona“ w pałacu łazienkowskim.

Jakim szczęściem w straszliwym nieszczęściu zniszczenia Warszawy jest ocalenie Łazienek. Ich park z kompleksem zabudowań stanowi nie tylko najpiękniejszy zabytek architektury i sztuki ogrodniczej czasów stanisławowskich; jest nie tylko pomnikiem kultury polskiej i naszą dumą narodową; nie tylko miejscem, z którym się wiąże wiele wspomnień historycznych, a dla Warszawy — wiele jej przeżyć i wrażeń, jeśli tak można rzec — osobistych: Łazienki są jedną, jeśli nie z najwspanialszych, to z pewnością jedną z najbardziej uroczych, wytwornych i ze smakiem urządzonych letnich rezydencji monarszych w Europie. Poczdam na przykład i Sans-Souci są bogatsze, lecz bez gustu pomyślane, zatłoczone nadmiarem dekoracji, ozdób, figur i budynków, pretensjonalne i zmanierowane w swym pruskim rokoko, ponadto zanieczyszczone niejako przez swego budownika — Wielkiego Fryca, który w poplamionym mundurze i połatanych butach, niemyty i brudny (jak go opisują współcześnicy), wałęsał się tutaj po parku ze zgrają psów, rzucających się na przechodniów: cóż to za przeciwieństwo wykwintnego Stanisława Augusta. Piękny jest Schönbrunn ze swoją wyjątkową Gloriettą i ze stawem Nimf, lecz nieprzytulny i sztywny, z owym gładko strzyżonym parkiem, o którym by można powiedzieć słowami Mickiewicza, że nie śmie ani rąk podnieść ani głow skrzywić, aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić. A nade wszystko Schönbrunn jest nazbyt nasłoneczniony, cały kąpiący się w słońcu.

Fragment „Teatru na wyspie“.



Inaczej w Łazienkach. Stanisław August wiedział, że drzewa żyją; są jak ludzie. Muszą podnosić ręce - gałęzie i szumieć nimi; muszą mieć swobodne głowy-korony. Nie można brać ich pod jeden strychulec; ścinać je, gdy pragną wybujać; upodabniać je jedno drugiemu, równać i „glajchszaltować“: każde z nich jest indywidualnością. Więc pozwolił im rosnąć jak chcą — w angielskim stylu ogrodniczym, byleby rosły żyźnie i malowniczo. I wiedział jeszcze, że porą roku, najbardziej w Polsce niezwykłą i najpiękniejszą, jest złota polska jesień; mógłby powtórzyć za pewnym poetą, który żył w półtora wieku po nim: „Ta melancholia więdnącej jesieni słodka jest bardzo i zmysłom miła. Szumiącym wrześniem do mnie przemówiła, dojrzałym winem we mnie się czerwieni. Rozumiem urok krótkich, szybkich cieni; wiem, skąd tych blasków południowych siła, czemu się nagle w parku odwróciła ta piękna panna, która się rumieni. Dostrzegam w sobie zdumiony przemianę. Widzę, że czerwień jest barwą głęboką, że drzewa barwą czerwoną zalane hipnotyzują rozkochane oko, i — godząc wszystkie pragnienia wezbrane — każą mi wzrokiem wybiegać wysoko.“

Więc w parku łazienkowskim rosną przede wszystkim drzewa, których porą jest jesień — cieniste kasztany, mieniące się wszystkimi odcieniami złota i czerwieni, dopóki nie zwiędną, nie opadną i nie poczną szeleścić pod stopami, ścieląc z listowia swego kobierce. Potem przyjdą chłody i nagość konarów, które odsłonią i pałac, i całe jego śliczne otoczenie: Biały Domek i w owal zakreślone Myślenice, Pomarańczarnię i teatr na wyspie. Będzie tak, jak w smętnym wierszu Wierzyńskiego o Łazienkach:

...Ponad pawilonem
Listopad ołowianym zakołysze dzwonem
Jakieś echo się zerwie i gałęzie jękną;
Zachód będzie zapadał tego dnia jaskrawie
Na ten park i na pałac, na smutek i piękno,
Na fauny skamieniałe i krzyczące pawie...

Dig.

Wiadomości sportowe

Pierwszy po wojnie bieg maratoński o mistrzostwo Polski. Na starcie tej trudnej i wyczerpującej konkurencji stanęło 12 biegaczy, wśród których znaleźli się: trzykrotny mistrz Polski Garncarz, rekordzista Przybyłko, ostatni zwycięzca z przed wojny Marynowski mistrz Soduła z roku 1932 i inni. Najmłodszy wiekiem okazał się 26 letni maratończyk Osoba z Pogoni katowickiej. Trasa tego gigantycznego biegu nie była łatwa. Biegaczom sprzyjała jednak doskonała pogoda. Na półmetku w Zgierzu pierwszym był Nowak z Łodzi, który jako mało rutynowany jeszcze biegacz podyktował zbyt ostre tempo i potem dał się wyprzedzić innym. Na stadion ŁKS pierwszy wpadł Przybyłko z Klubu Sportowego „Czytelnik“ z Gdyni w czasie 3.11,34. Drugie miejsce zajął Ruszlewski z Warszawy w czasie 3.16,45, a trzecim był Soduła (ŁKS) 3.17.45.

Dziesięciobój o mistrzostwo Polski zakończył się sensacją. Nasz reprezentant z Oslo Kuźmicki znalazł się na drugim miejscu. Mistrzostwo zdobył młody i wielce obiecujący zawodnik z Odry z Wrocławia — Adamczyk — 5.869 pkt, wówczas gdy Kuźmicki miał tylko 5.786. W Oslo Kuźmicki uzyskał 5.811 pkt.

W pięcioboju pań o mistrzostwo Polski — Walasiewiczówna zakorkowała możliwość zdobycia mistrzostwa Polski młodszym lekkoatletkom. Starsze natomiast nasze reprezentantki jak Kwaśniewska i Wajsówna nie stanęły na starcie. Jedyną godną rywalką Walasiewiczówny okazała się Moderówna, która miała niestety dobre tylko cztery konkurencje, a w oszczepie rzuciła 19.42 i tym samym mimo prowadzenia do ostatniej konkurencji dała się wyprzedzić Walasiewiczównie Jeżeli chodzi o Walasiewiczównę, to niestety nie osiągnęła ona w tej konkurencji zbyt dobrych wyników. Na 100 m miała 12,8 — wówczas gdy Moderówna 13,1 w pchnięciu kulą 9,23 wówczas gdy Peskówna rzuciła 9.60, a Moderówna 9.37, w skoku wzwyż najlepszy wynik uzyskała Moderówna 137, a Walasiewiczówna 127, skok w dal też był nie nadzwyczajny. Walasiewiczówna 4.90, a Moderówna 4.71. O zwycięstwie zadecydował rzut oszczepem Walasiewiczówny 33.32.

Międzyklubowy mecz lekkoatletyczny Wisła (Kraków) — DKS Łódź zakończył się zwycięstwem DKS 117,5 pkt: 100.5 pkt. Najlepszy wynik w tych zawodach uzyskał młody średniodystansowiec Wisły Widerski w biegu na 800 m — 2.01,3 sek. przed Żołędziem 2.05,1 sek. Wajsówna w rzucie dyskiem miała 36.31. Wszystkie biegi sprinterskie wygrała Słomczewska (DKS), walcząc dzielnie z Legutko z Krakowa. Jest to już drugie w tym roku zwycięstwo DKS nad Wisłą.

Piłkarze całej Polski czekali na rozstrzygnięcie czterech spotkań mających wyłonić finalistów do mistrzostw Polski. Największą sensacją jest zwycięstwo Polonii nad Wisłą w Krakowie. Polonia bijąc Wisłę 3:2 wyeliminowała Kraków z dalszych rozgrywek o mistrzostwo Polski, co jest pierwszym wypadkiem w dziejach sportu piłkarskiego Polski. Finalistami zostali: Warta, Polonia, ŁKS, i AKS ze Śląska. W niedzielę 6 bm. Polonia grać będzie z ŁKS, a Warta z AKS. Finał rozegrany zostanie systemem punktowym.

Piłkarze Śląska pod nazwą drużyny Polski Południowej wybierają się na dwa mecze do Szkocji.

W Szczecinie zorganizowany został amerykański wyścig kolarski na dystansie 100 km. Zwyciężyła para kolarzy łódzkich: Bek i Pietraszewski przed parą warszawską Napierała, Kudert i parą krakowską: Gabrych, Motyka. Natomiast w Łodzi zorganizowany został jubileuszowy wyścig ŁKS na dystansie 145 km. Zwyciężył Grynkiewicz (ŁKS) — 4.12,54 przed Leśkiewiczem (Tram.) 4.12.54,2 i Kołodziejczykiem (ŁKS) 4.12.54,4. **J. N..**



W zorganizowanych przez DKS w Łodzi wyścigach motocyklowych zwyciężył wychowanek Centr. Szkoły Of. Pol. Wych. — Bouchet bijąc rutynowanego zawodnika Więcka.
(fot. W. Kraska)

MAJDANEK PRZEOBRAŻONY

Byłem w Lublinie w chwili, gdy dobiegały końca obchody pod nazwą „Tygodnia Majdanka", ciągnące się od 14 do 22 września. Olbrzymie plakaty ze stosem trupich czaszek i piszczeli oblepiały miasto. W kioskach sprzedawano broszury: „Z dziejów Majdanka", „Obóz zagłady", „Za drutami zagłady" — broszury, pełne wstrząsających opisów i ilustracyj, na których widziało się znowu czaszki, kości, obuwie zakatowanych ludzi, komory gazowe, krematoria i „kompost" czyli nawóz z popiołów ludzkich. W gazetach lubelskich na pierwszej stronie reprodukowano rysunki z teki majdańskiej Tołkaczowa i ogłaszano artykuły pt. „Zapraszamy na Majdanek, Mr. Byrnes!". Na dalszych stronach podawano program „Tygodnia", skomponowany ściśle z poniższych punktów: capstrzyk, zapalenie znicza, apel pomordowanych, powitanie przez ob. Czugałę (przewodniczącego Komitetu) przedstawicieli Rządu i państw obcych, msza św. przed krematorium, składanie wieńców, defilada organizacji i związków, przemówienia, usypanie symbolicznej mogiły, otwarcie muzeum martyrologicznego, wyświetlanie filmu „Majdanek", koncert w sali Teatru Miejskiego, sprzedaż znaczków i zbiórki uliczne, wreszcie „uroczysta akademia" w Sali Miejskiej, zamykająca „Tydzień"... Moglibyśmy powiedzieć, że program był obfity i urozmaicony, aczkolwiek szablonowy, ułożony wedle zasad, raz na zawsze przyjętych dla wszystkich obchodów bez względu na ich charakter i nastrój. Z niewielkimi zmianami program taki dałoby się zastosować przy otwarciu — przypuśćmy— mostu Poniatowskiego, na Święto Matki albo w dniu dożynek: tak samo capstrzyk, powitanie, przemówienia, defilada, wyświetlanie okolicznościowego filmu, sprzedaż znaczków, koncert i „uroczysta akademia". Istotnie, przybysza, który nie obcował bezpośrednio tyle lat z Majdankiem co lublinianie, mogły razić niektóre punkty programu, jak raził go nadmiar czaszek na plakatach i obrazkach. Ale to rzecz przyzwyczajenia. Lublin — jakby to powiedzieć? — musiał się zapewnie otrząskać z Majdankiem. I tak jest rzeczywiście. Dyrektor muzeum majdańskiego— p. Stanisław Brodziak, młody i niestrudzony pracownik kulturowy — mówił mi, że gdyby nie „energiczna akcja" władz, zabezpieczająca w ostatniej chwili Majdanek nic by z obozu nie pozostało.W okresie bowiem pewnego bezrządu i chaosu, jaki trwał od wypędzenia Niemców do momentu ustalania się administracji na-



Kryształki cyklonu (fot. Kraska)

szej, tj. przez parę tygodni, Majdanek był swego rodzaju obiektem bezpańskim, pozostawał bez specjalnego dozoru, i ludność okoliczna rabowała go jak mogła. Szczególnie odznaczyli się mieszkańcy pobliskiej wsi, która się nazywa Dziesiąta. Jest to wieś starożytna, a więc powinna by mieć tradycję i godność. Uwiecznił już ją Kochanowski we fraszce „Do doktora Montana":

„Pierwszą wtórą i trzecią, czwartą wieś i piątą, szóstą także i siódmą, ósmą i dziewiątą, nie wiem, miły doktorze, w której masz krainie; jam tylko był w Dziesiątej, która przy Lublinie".

Otóż, ta historyczna wieś, przyległa do terenu obozu a stanowiąca jako przedmieście część t.zw. Wielkiego Lublina, pierwsza wyszabrowała — mówiąc językiem dzisiejszym — Majdanek, którego Niemcy, jako dowodu swych zbrodni, uchodząc w popłochu nie zdążyli zniszczyć: podpalili tylko krematorium i niektóre komory gazowe. A Majdanek zajmował przecie przestrzeń ogromną: był miastem baraków, rozłożonym na obszarze 25 km². Dla uzmysłowienia sobie jego rozmiarów, porównajmy go np. z Krakowem, który wraz z przedmieściami zajmuje 47 km²: Majdanek tedy stanowił więcej niż połowę Krakowa. Przez Majdanek przeszło kilka milionów ludzi. Dziś jeszcze w jednym z baraków oglądamy 820 tysięcy par zwalonego w stosy, zbutwiałego obuwia. Ten ogrom obozu skurczył się dziś niezmiernie. Dziesiąta bowiem natychmiast rozebrała większość jego baraków, i dzięki temu budulcowi rozbudowała się dostatnio. Mieszkańcy jej — a i lublinianie pospołu z nimi — przetrząśli prócz tego w Majdanku wszystko, co się dało. Jeszcze dziś— na tych „polach" obozu, które już zostały ogołocone z budynków i skutkiem tego nie należą do terenu chronionego—jeszcze dziś widzi się tu gromady poszukiwaczów skarbów: grzebią motykami i kociubami w ziemi, przesyconej być może gdzienie-



Uroczystość na Majdanku.

gdzie „wysokowartościowym" (jak go określa jedna z broszur) kompostem ludzkim, i mają nadzieję, że coś znajdą: może jakiś pierścionek, może ząb złoty...

Mam zwyczaj po trochu filozofować. Filozofowanie ma swoje ujemne i dodatnie strony. Powoduje niekiedy sceptycyzm i niewiarę w świat i ludzi, i czyni człowieka wystygłym. Wszelako — jak powiedział Cycero, a za nim Montaigne — filozofować, to znaczy uczyć się umierać. W takim filozoficznym nastroju chodziłem po polach Majdanka. Nie mogłem się nadziwić ludziom, którzy go ograbili. Wieś Dziesiątą każdy więzień Majdanka oglądał przez cały czas swego tutaj pobytu. Jest ona tak bliska drutom, że wydaje się — ot, ręką sięgnąć. Jej malowniczy widok musiał zwiększać udrękę więźnia, który nie mógł przeskoczyć przez naelektryzowane druty. A może czasami mu się to udawało: zdarzały sie ucieczki z obozu. Może w takim wypadku szukał pierwszego schronienia w Dziesiątej? I może Dziesiąta. w lęku przed psami gestapowskimi, przed karą za ukrycie zbiega, oddawała go Majdankowi z powrotem? Któż to wie? Jeżeli zdolna była go wyszabrować... A może za czasów istnienia obozu ciągnęła też z niego zyski? Może handlowała przez druty z więźniami, biorąc od nich za bochenek chleba ostatni pierścionek, schowany gdzieś przez nich cudownym a przemyślnym sposobem? Ludzie bywają rozmaici. Przecie w obozie pruszkowskim zdrowi mężczyźni wydzierali dzieciom kubek mleka, dany im z Czerwonego Krzyża, a obrotniejsi pruszkowianie sprzedawali wysiedleńcom warszawskim flaszkę wody za 100 zł. A przecie wszyscy powinniśmy po trochu filozofować i wiedzieć, że deska z rozkradzionego baraku, złoty ząb lub 100 zł. za butelkę wody -- nie stanowią ostatecznego celu życia. Tak medytowałem, chodząc po Majdanku i powtarzałem w myśli przejmujący wiersz Słonimskiego, dla mnie jeden z najpiękniejszych w poezji polskiej:

„Jak się zakończy ta historia? Pod piaskiem suchym czy pod gliną? Czy też się skończy w prosektorium do żył wstrzyknięta formaliną? Tak czy inaczej ten grunt grząski jakimś pochłonie nas sposobem: zawrzemy czułe, wieczne związki, chemiczne związki z własnym grobem. Aż z głębi ziemi, jak z kokona wyfrunie nocna ćma kometa, lub motyl — gwiazda uskrzydlona, która wieczysty uśpi eter".

Niestety — i Niemcy, którzy budowali Majdanek, nie znali tego wiersza. Gdyby go znali, możeby powtarzali sobie: tak czy inaczej ten grunt grząski... Dusze umęczonych tu ludzi wyfruneły kometami i gwiazdami i śpią w wieczystym eterze. Lecz dusze męczycieli?

•

Na Majdanku założono teraz muzeum martyrologii, nie polskiej jedynie, bo zgładzono tu ludzi z 22-ch narodów: martyrologii więc ludzkiej. Dyrekcja muzeum uratowała resztki „obiektów" i ma zamiar „rekonstruować" baraki rozgrabione. Widzieć tu można łaźnie z natryskami, spod których pędzono mokrych skazańców do sąsiedniej komory gazowej. Przez okratowane okienko w hermetycznych drzwiach obserwowano działanie cyklonu: jego kryształki, padając z góry na mokre ciała, wytwarzały w połączeniu z wilgocią gaz: kilo kryształków, nasyconych ciankiem potasu, dusiło 1914-tu ludzi. Widzieć też można na Majdanku krematorium, które Niemcy częściowo podpalili, lecz już je „zrekonstruowano". Są strupieszałe buty, pruchniejące komplety pasiaków z odpowiednimi naszywkami, literami i oznakami. Jest mogiła, usypana z „kompostu", i krzyż na niej. W wielkim baraku, gdzie się mieściły warsztaty szewckie mnóstwo — nazwijmy je tak — eksponatów: imienne listy straconych, wykresy, statystyki, przedmioty różnego użytku, obrazy, ryciny, fotografie, trupie czaszki, puszki z cyklonem itd. Stoją także naturalnej wielkości figury więźniów (z wosku? z gipsu? czy z plasteliny?), których twarzom artysta dość prymitywnie nadał wyraz straszliwego wyczerpania i cierpienia. Wśród tych figur jest Żyd i Polak ,kobieta i małe dziecko, w przepisowej odzieży więziennej, w drewniakach na spotworniałych stopach. Z daleka czynią wrażenie żyjących — czy raczej upiorów, które wyszły z tamtego świata. Z bliska, zamiast współczucia i współcierpienia, budzą zgrozę i odrazę.

Przykro mi, że o tym piszę, ale nie wstrząsnęły mną one, nie wywołały tego uczucia, uczucia, jakie wywołać jest zapewne ich przeznaczeniem. Propagandowa broszura o Majdanku tłumaczy nam, czym mają się dzisiaj stać — on i jego muzeum: „Majdanek — symbol męki i rozpaczy, jest jednocześnie symbolem najszlachetniejszej idei braterstwa narodów i najszczytniejszej walki o wolność a wreszcie jest to wielki tryumf Słowiańszczyzny nad hitleryzmem, końcowy etap odwiecznej drogi, zmierzającej ku uwolnieniu świata od zmory krzyżackiej i mitu o Nibelungach". Być może słowa te — jak dla mnie nadto patetyczne — zawierają prawdę, i Majdanek powinien być takim symbolem. W tej jednak postaci, jaką przybiera dzisiaj, człowiekowi wrażliwemu nasuwa inne skojarzenia. Przypomina mu ze smutkiem paryskie „Musée Grévin" i „Les Oubliettes", gdzie za opłatą kilku franków można oglądać różne okropności: średniowieczne tortury, rozdzieranie końmi woskowych ludzi, gilotynowanie woskowej kukły (jak żywej) itp. Te skojarzenia potęguje okoliczność, że pracownicy muzeum majdańskiego, pokazując je zwiedzającym, popadają w rolę zawodowych guide'ów i mówią jednostajnie wyuczonym stylem: tutaj możecie państwo widzieć 820 tysięcy par butów... jest to tylko cząstka.. miliony obuwia wywieziono do Niemiec. Majdanek bowiem był dla hitlerowców przedsiębiorstwem dochodowym... około dwustu kilo włosów kobiecych wywożono miesięcznie w celach fabrykacji...



Słup wzniesiony na Majdanku przez więźniów uwieńczony był u góry gołębiem. Miejscowa ludność, po ucieczce Niemców, w mniemaniu, że to orzeł hitlerowski zniszczyła częściowo słup.

Aby uchronić Majdanek przed sensacją i zwulgaryzowaniem, trzeba by wprowadzić weń jakiś czynnik wysoki. Widziałem tam taką kontrastową scenę: w palenisku jednego z pieców krematoryjnych leżał pęk kwiatów, a przed paleniskiem klęczała stara kobieta, zatopiona w modlitwie; obok kręcili się ludzie w czapkach na głowach i rozmawiali głośno. Nie jestem religiantem ani praktykującym wyznawcą kościoła. Jestem filozofującym chrześcijaninem. I myślę, że Majdanek jest bądź co bądź cmentarzem. Czy ja wiem? Możeby wystawić na nim, oprócz muzeum, kilka niewielkich świątyń — grobowców tych wyznań i kościołów, których członkowie ginęli tutaj, nieraz zapewne z modlitwa na wargach: świątynię katolicką, protestancką, prawosławną, żydowską, mahometańską. Takie świątynie być może uwydatniłyby braterstwo narodów, o którym mówi broszura, wzmocniłyby symbolikę Majdanka. Ponadto przydałyby mu wzniosłości i majestatu, które może stopniowo zatracić w zgiełku — odważmy się użyć tego słowa — ciekawych turystów, mimo szlachetny wysiłek jego zarządu, pragnącego otoczyć Majdanek czcią.

Jerzy Wyszomirski

RENESANS POLSKIEJ LITERATURY WOJSKOWEJ

W okresie powojennym rodzi się natychmiastowa potrzeba nowej, zmodernizowanej literatury wojskowej. Zrozumiała jest bowiem konieczność teorii, powstałej jako rezultat doświadczeń bojowych, oraz wytworzenie własnej doktryny wojskowej. Zrozumiała jest również konieczność historycznego ujęcia tych wszystkich zjawisk wojskowych, jakie przez okres 5-ciu lat miały miejsce na szerokich frontach Europy i świata. Sama już tylko analiza koncepcji strategicznych, syntetyczne ujęcie najprzeróżniejszych form operacyjnych, przeobrażenia zasadnicze w taktyce, niekiedy rewolucyjne wprost zmiany w uzbrojeniu i technice wojskowej stanowią niewyczerpany rezerwuar tematów do dociekań i studiów. Gdy się doda do tego ewolucję pedagogiki wojskowej, wyrobić sobie można ogólny sąd o olbrzymim materiale, jaki objąć ma polska literatura wojskowa. Prócz tego nie można pominąć milczeniem problemów ogólnych z dziedziny gospodarczo-politycznej, które na koncepcje strategiczne wywierają często wpływ zasadniczy.

Zatoczywszy tak szeroki łuk dla swych zainteresowań, polska literatura wojskowa kształtować się musiała od podstaw. Przede wszystkim należało poddać rewizji nasz dorobek przedwojenny, okazało się bowiem, że przedwrześniowa doktryna wojskowa nie zawsze może być do przyjęcia. Należało ją przewartościować, wybrać elementy nieprzewalutowane, opierając się na nowych wzorach jako rezultacie warunków nowoczesnej wojny.

Jednocześnie należało stworzyć podręczna bibliotekę wyszkolenia, obejmującą szereg regulaminów, instrukcji, podręczników, przepisów służbowych i książek z poszczególnych broni i służb. Tu olbrzymie usługi oddała wojskowym komórkom naukowym literatura rosyjska. Potrzeba nam bowiem było, zwłaszcza w pierwszym okresie, dobrych wzorów. Nie trudno było doszukać się ich tam, gdzie doktryna wojskowa zdała egzamin, gdzie osiągano realizację najśmielszych pomysłów i koncepcji i gdzie uzyskano klasyczne wzory i systemy.

Oczywiście, kiedy toczył się jeszcze bój, nie było zbyt wiele czasu na to, by nadać podręcznikowi i książce wojskowej skończoną formę tak pod względem treści, jak konstrukcji. W początkowej fazie ograniczyć się musiano do prostych tłumaczeń i przekładów. W tym okresie należało opanować nowe osiągnięcia w sztuce wojennej, przyswoić je polskiej literaturze, a następnie przejść już do własnych pomysłów i koncepcji przez wypracowanie systemów, odpowiadających skali naszych sił i możliwości. Wydawałoby się, że transpozycja na język polski obcych osiągnięć jest stosunkowo rzeczą prostą. W rzeczywistości napotkano tu na wiele komplikacji. Okazało się, że nasze słownictwo wojskowe posiada ramy skromne, że w dotychczasowych kategoriach nie mieszczą się nowe osiągnięcia i zdobycze wojenne. Stąd powstała konieczność budowy nowego słownictwa wojskowego oraz dokładnej analizy terminologii istniejącej.

Jeżeli się śledzi najnowsze wydawnictwa wojskowe, oraz katalogi Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, stwierdzić wypada, że polska twórczość wojskowa osiągać zaczyna pełnię rozwoju. Regulaminy piechoty, artylerii, serie wydawnictw broni pancernej, lotnictwa, łączności i wiele innych umacniają nas w przekonaniu, że wojsko poczyna kształtować własną doktrynę militarną. Dowodem tego jest nie tylko 211 pozycji wydawniczych W. I. N. W. (W ogólnej ilości około dwóch milionów egzemplarzy)— ale i szereg periodyków wojskowych, do których należą czasopisma tego rodzaju, co „Bellona", „Przegląd Wojskowy", „Przegląd Piechoty", „Przegląd Artyleryjski", „Przegląd Broni Pancernej", „Przegląd Łączności", „Przegląd Weterynaryjny", „Przegląd Prawniczy". Naczelne miejsce wśród nich zajmuje miesięcznik „Bellona", obejmujący całość zagadnień militarnych na wyższym szczeblu dowodzenia.

Dzięki inwencji „Bellony" powstały nowe wydawnictwa wojskowe mianowicie „Przeglądy" poszczególnych broni i służb, wprowadzające w dziedziny danych specjalności oraz wyszkolenia.

Kpt. Tadeusz Twarogowski

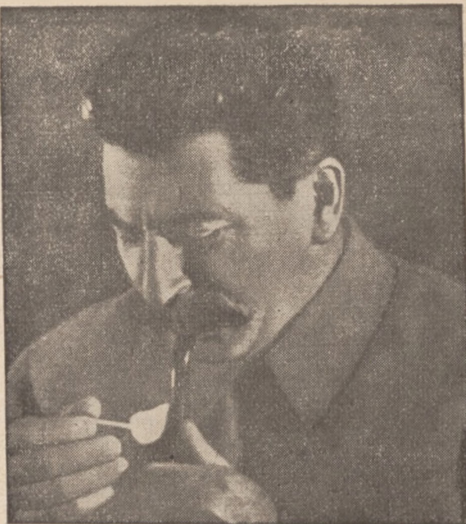
POKÓJ, POKÓJ, POKÓJ

W ślad za wywiadem marszałka Stalina, w którym stwierdził, iż nie ma niebezpieczeństwa nowej wojny, a istnieje tylko wrzawa wojenna, posypał się grad przemówień pokojowych. Jakby różni politycy teraz dopiero spostrzegli, że po straszliwym upuście krwi ostatniej wojny, ludzkość nie jest zdolna prowadzić zaraz drugiej wojny i potrzebuje dłuższego okresu pokoju. Były minister Eden, urzędujący minister Bevin w Anglii, prezydent Truman w Ameryce podkreślają konieczność pokoju i potępiają alarmy wojenne. Pękły ogniste ckowy. Nastroje pokojowe wydostały się na wierzch, giełda reaguje zwyżką kursów, pacyfiści mają otwarte pole do działania. W tych nastrojach bledną problemy greckie, indonezyjskie, sporu anglo-egipskiego, nawet palestyńskie. Pokój, pokój. pokój...

Tylko w Niemczech, przywódca Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej, Jakub Kaiser, korzystając z wielkiego zwycięstwa wyborczego, jakie jego partia odniosła w strefach okupacyjnych brytyjskiej i amerykańskiej propaguje idee odwetu na wschodzie. Sekunduje mu dzielnie dr Schumacher, przywódca Socjalistycznej Partii Niemiec, która w wymienionych strefach zajęła drugie miejsce w wyborach. Dr Schumacher twierdzi, że Niemcy nie mogą zrezygnować ani z ziem wschodnich, ani z Zagłębia Saary. Jest to propaganda klęski gratisowej. Jest to ciąg dalszy polityki Hitlera, który dążył do takiego wyniszczenia Europy, aby nawet w razie klęski, Niemcy wyszły z niej silniejsze od swych zwycięskich sąsiadów.

Oto n.p. Francja straciła w czasie obu ostatnich wojen 2.700.000 zabitych. Ubytek ten stanowi poważną przeszkodę na drodze odbudowy kraju. Przedwojenna Francja potrzebowała stale dwu milionów robotników, których sprowadzała zza granicy. Obecnie to zapotrzebowanie z pewnością się zwiększyło, a wyniszczona biologicznie Europa nie może Francji pomóc swą nadwyżką.

Proces wyludniania się Francji trwa od lat 60 i jeśli dotąd nie uwidocznił się w sposób katastrofalny, to jedynie dzięki licznemu napływowi cudzoziemców, szczególnie robotników których dzieci naturalizują się, podtrzymując w ten sztuczny do pewnego stopnia sposób stan ludnościowy Francji. Bez tego obcego zastrzyku Francja za lat 40 liczyłaby nie więcej, niż 30 milionów ludności, straciłaby swoje mocarstwowe stanowisko i przestałaby stanowić na zachodzie zaporę przeciwniemiecką. Każda wojna pogarsza ten stan Francji. Pokój może wyrównać do pewnego stopnia straty.



Generalissimus Józef Stalin.

1 PRZECIW 1650

Kto jest najbardziej zajętym człowiekiem na konferencji paryskiej? Nie żaden minister lub jego sekretarz, lecz dziennikarz, a raczej rzecznik prasowy delegacji radzieckiej Konstanty Zinczenko. Jego obecne zadanie polega na utrzymywaniu stosunków i informowaniu ok. 1650 dziennikarzy i reporterów wszystkich krajów, którzy przybyli na konferencję w Paryżu.

Jeden przeciw 1650, z których każdy chce z nim rozmawiać, wyciągnąć od niego niedyskrecje polityczne i wiadomości o tym, jaka będzie linia polityki radzieckiej.

Na konferencji Zinczenko siedzi zawsze obok Mołotowa i Wyszyńskiego, lecz co



Dziennikarz radziecki Konstanty Zinczenko

chwila jest odrywany przez dziennikarzy, którzy nie opuszczają go nawet w tej chwili, gdy śpieszy do pracy w Ambasadzie Związku Radzieckiego na rue de Grenoble. W jego małym gabinecie telefon dzwoni bez przerwy, a ciekawi reprezentanci prasy całego świata nie dają mu spokoju, nawet późno w noc w jego apartamencie w hotelu Palace Athenee na modnej obecnie Avenue de Montaigne.

Zinczenko załatwia wszystkich spokojnie i uprzejmie, choć nikt nie może się pochwalić, by dowiedział się czegoś ponad oficjalne oświadczenie rzecznika delegacji. Tej właśnie umiejętności wywiązywania się ze skomplikowanych zadań oraz unikania w sposób dowcipny drażliwych pytań zawdzięcza Zinczenko wysokie zaufanie, jakim darzą go jego przełożeni.

Stanowisko, jakie zajmuje, jest wstępem do wybitnej kariery dyplomatycznej. Dwaj jego poprzednicy, to zmarły niedawno K. Umański, ambasador radziecki w Stanach Zjednoczonych oraz A. Petroff, obecny ambasador w Chinach.

Dziennikarki, a takich jest sporo w gromadzie, stale oblegającej Zinczenkę, twierdzą, nie bez racji zapewne, że jest przystojny i że garnitury jego stanowią pierwszorzędną reklamę dla londyńskich krawców.

WYROK W NORYMBERDZE



(British Photo)

Ustami przewodniczącego Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, Lorda Sprawiedliwości Geoffrey'a Lawrence'a w dn. 1 października 1946 r. został ogłoszony wyrok na zbrodniarzy niemieckich w Norymberdze.

Na karę śmierci zostali skazani: Goering, Ribbentrop, Keitel, Kaltenbrunner, Rosenberg, Frank, Frick, Streicher, Sauckel, Jodl, Seyss-Inquart i Bormann (zaocznie). Karę dożywotniego, wzgl. długoterminowego więzienia otrzymali: Hess, Funk, Raeder, Schirach, Speer, Neurath i Doenitz. Uniewinnieni zostali: Pappen, Fritsche i Schacht.

Od wyroku oskarżonym przysługuje prawo złożenia prośby o ułaskawienie do Sojuszniczej Rady Kontroli w Berlinie. Wyroki śmierci zostaną wykonane w dniu 16 b. m. w Norymberdze.

Skazani na więzienie odsiadywać będą karę w rejonie Berlina.

Sędzia radziecki założył protest w sprawie uniewinnienia Pappena, Schachta i Fritsche'a oraz zbyt łagodnego wyroku na Hessa.

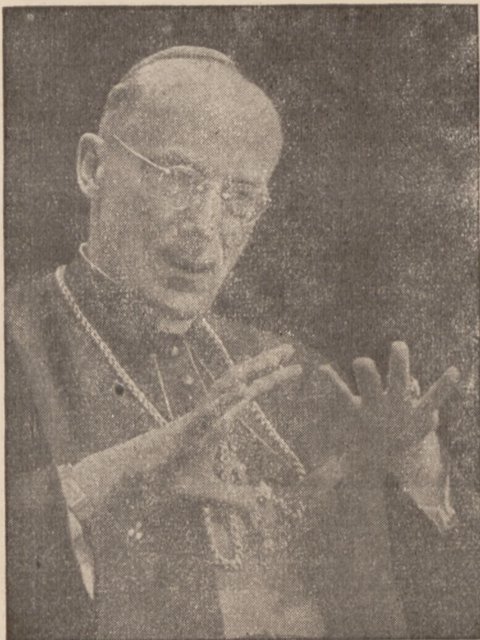


(British Photo)

Feldmarszałek von Rundstedt, jeden z głównych wodzów armii niemieckiej, powrócił do swojej posiadłości w okolice Norymbergii oczekując wyroku na zbrodniarzy wojennych. Stary Rundstedt po odniesionych ranach kuleje i pomaga sobie dwiema laskami.

Hess wypowiada swoje „ostatnie słowo" w Norymberdze. Jego tajemnicza podróż do Anglii spowodowała, że nie podzielił on losu swych towarzyszy partyjnych.







(British Photo)

Na zdjęciu widzimy: Kardynała Frings'a nieoficjalnego przywódcę Chrześcijańskich Demokratów i Kurta Schumachera przywódcę Partii Socjal-Demokratycznej. Gdy w Norymberdze zapadł wyrok skazujący dawnych przywódców narodu zbrodniarzy, nowi wodzowie już występują w obronie dawnych granic niemieckich, starając się wzbudzić litość anglosaskich protektorów.

Powrót króla greckiego...

Powrót króla greckiego Jerzego nastąpił przy akompaniamencie strzałów armatnich bratobójczych walk w północnej Macedonii. Mimo wszystko, jak widzimy na zdjęciu, król ma na razie minę bardzo zadowoloną, gdyż uważa, że sprawa ewentualnej ucieczki jest tylko kwestią przyzwyczajenia.



„CARE" DLA POLSKI

W Belwederze odbył się akt wręczenia dziesięciu paczek stanowiących dar prezydenta U.S.A. Trumana oraz 100 paczek od amerykańskiej Spółdzielni pomocy Europie „Care". Do Belwederu przybył delegat „Care" na Polskę mr. Mac Donald w towarzystwie prezesa „Społem" Jana Żerkowskiego, posła Dominki i dyr. Przybylińskiego. Prezydent Bierut osobiście pokwitował odbiór daru i przekazał go p. premierowej Morawskiej do rozdziału pomiędzy dzieci Warszawy, znajdujące się pod opieką Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.



Małżonka premiera ob. Osóbka-Morawska jako przewodnicząca Zarządu Oddziału RTPD przejmuje paczki celem rozdzielenia ich pomiędzy najbiedniejsze dzieci Warszawy.
Fot. Brzozowski



Samochód z darami „Care" przed pałacem belwederskim.



Na zdjęciu od lewej: Mr. Mac Donald delegat „Care" na Polskę, prezes „Społem" poseł Jan Żerkowski, dyr. Przybyliński, prezydent B. Bierut i poseł Dominko.

TRZYDZIESTOPIĘCIOLECIE »SPOŁEM«

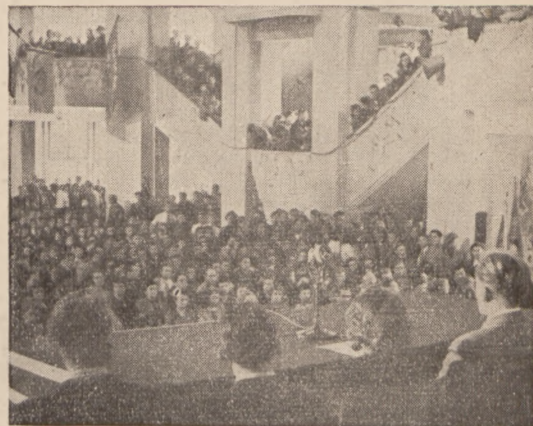
Tegoroczne Święto Spółdzielczości, połączone było z obchodem 35-lecia istnienia „Społem" największej centrali spółdzielczej w Polsce. Na Akademię w „Romie" przybył prezydent K.R.N. Bierut, przedstawiciele Rządu, wybitni działacze spółdzielczości oraz tysiączne rzesze spółdzielców i sympatyków ruchu spółdzielczego. W ramach uroczystości nestor ruchu spółdzielczego prof. Wojciechowski wręczył złote odznaki „Społem" zasłużonym działaczom spółdzielczości.



Prezes Żerkowski przemawia na akademii „Społem" w „Romie".



Na zdjęciu od lewej — dyr. Jasiński „długoletni członek Zarządu „Społem", b. prezydent Stanisław Wojciechowski, jeden z założycieli „Społem" oraz prezes Zarządu Głównego poseł Jan Żerkowski.



Sala „Romy" w czasie akademii z okazji 35-lecia „Społem".



Dziedziniec Centrali „Społem" w Warszawie przy ul. Grażyny 13.



Gmach „Społem" w Warszawie.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA W CZĘSTOCHOWIE

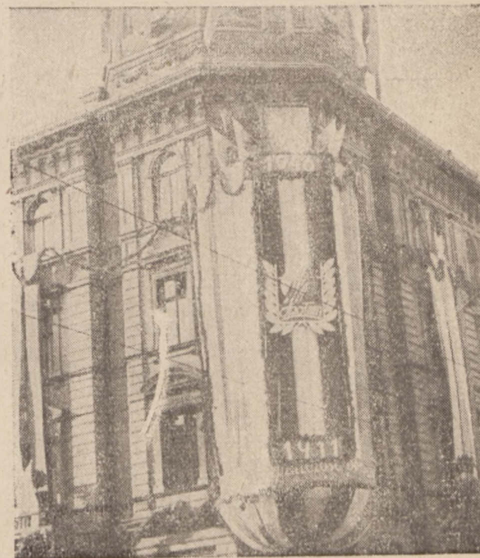
W Częstochowie otwarta została Wystawa Przemysłowo-Rolnicza, na której wyróżniają się przede wszystkim pawilony: Lasów Państwowych i Zjednoczonego Przemysłu Skórzanego.
Zakłady Państwowe, przemysł, rolnictwo, kupiectwo, spółdzielczość, oświata i wytwórczość prywatna wystąpiły ze swym dwuletnim dorobkiem.
Na zdjęciu kardynał A. Hlond żegnany przez dyrektora opuszcza teren Wystawy.



Samochód „Społem" w korowodzie wozów.
Fot. Kraska



Gmach „Społem" w Łodzi przy ul. Zawadzkiej 1.
Fot. Kraska



EWOLUCJE KRAJOWOŚCI KASZUBSKIEJ

W okresie między obu wojnami zaczynał nabierać sił regionalizm kaszubski. Pierwsze jego, świadomie organizowane elementy, sięgają połowy ubiegłego stulecia, kiedy w dobie Wiosny Ludów Kaszub Florian Ceynowa, podjął pracę budzenia swych ziomków ze stanu duchowego odrętwienia i wywoływać począł przed ich oczy wizje bohaterskich czasów świętopełkowego księstwa i walk z Krzyżakami i Brandenburczykami. Od tego momentu zwolna narastać zaczęła koncepcja sprawy kaszubskiej. Pomieszana w różnych ciasnych głowach z pojęciem ruchu odśrodkowego, nigdy przed wojną nie uzyskała rzeczywiście dobrego naświetlenia i zwykle była rozumiana opacznie. Powodów ku temu było dużo. Przyczyniły się więc znacznie niezręczności pewnych działaczów kaszubskich, nie posiadających należytego wyrobienia w pracy publicznej. Propaganda niemiecka ze swej strony starała się możliwie zaciemnić sytuację, głosząc wbrew nauce i prawdzie historycznej, że Kaszubi są szczepem pochodzenia germańskiego. Błędy przedwojennej administracji polskiej również dopomogły do komplikacji zagadnienia, stawiając je na płaszczyźnie niemal antypaństwowej.

Powstałe w ten sposób pomieszanie pojęć zatruwało atmosferę panującą na ziemi kaszubskiej i stwarzało zamknięte koło wzajemnych nieufności. Niemniej w okresie przedwojennym ruch kaszubski tężał, postępując w parze z rozrastającym się regionalizmem pomorskim. Już wówczas podjęte tu zostało hasło Wielkiego Pomorza, zawierające w sobie dążności rewindykacyjne. Nic więc dziwnego, że opanowawszy ten kraj, Niemcy przystąpili niezwłocznie do gruntownego wytrzebienia go z elementów społecznie aktywnych. Dziesiątki tysięcy rozstrzelano bez sądu i wyniszczono w obozach koncentracyjnych, dziesiątki tysięcy wypędzono z rodzinnych gniazd do t.zw. generalnego gubernatorstwa. Żałobą okryło się Pomorze, a rozwijający się dotąd ruch kaszubski — zamarł.

Ale tylko pozornie. W istocie bowiem wszedł w podziemia i stąd prowadził największą walkę w swej historii: walkę o zachowanie duszy i oblicza narodowego kaszubskiego. Nie złamały go najbezwzględniejsze prześladowania. Lasy kaszubskie i pomorskie, nieme świadki wielu bohaterskich i tragicznych epizodów, pomogły ukryć bojowców. Wreszcie przyszło wyzwolenie.

Kiedy państwo polskie powiększyło swe granice zachodnie i morskie, wynikły znowu pewne problemy, związane z działalnością kaszubską i ogólnie pomorską. Mianowicie uwidocznił się ruch, zmierzający ku ekspansji regionalistycznej kaszubskiej na całe Pomorze — i to zarówno na dawne polskie Nadwiśle, jak i na pomorskie Ziemie Odzyskane. Wyłonił się w środowisku najmłodszej inteligencji pomorskiej, a chociaż znajduje się w fazie początkowej, zapowiada się już jako silna akcja, po której w przyszłości spodziewać się można poważnych rezultatów. O natężeniu jego świadczy fakt, że rozwinął się bardzo wśród młodych Pomorzan, walczących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Nie ma w nim nic z zaściankowego partykularyzmu, przeważa natomiast zdrowa ambicja sięgnięcia do tradycji staropomorskich, dla których chwila powrotu Gdańska i Szczecina jest najwłaściwszym momentem historycznym, nakładającym obowiązek działania.

Obecny ruch pomorski, który jest rozszerzeniem kaszubskiego, bazuje się na zasadzie krajowości. Krajowość jest wzbogaconym pojęciem regionalizmu i obejmuje poza kaszubską koncepcją **„tatczyzny"** ustanowienie form organizacyjnych gospodarczo-społecznych pewnego kraju jako organicznej części państwa. Pomorze już przed wojną posiadało w tym względzie konkretną instytucję, uznaną przez państwo, mianowicie t.zw. starostwo krajowe, które zasięgiem swej kulturalno-społecznej działalności obejmowało całe dawne woj. pomorskie. Dążność Pomorzan do podtrzymania własnych tradycji jest szczególnie zrozumiała w okresie, w którym po wielu latach rozbicia i zaborów, prawie całe Pomorze, w składzie 4 województw: (szczecińskiego, gdańskiego, bydgoskiego i olsztyńskiego) znalazło się w granicach państwa polskiego. Fakt wytrwania pod Niemcami i podjęcia obecnie żywej działalności przez tubylczych Pomorzan, nawet w najbardziej na zachód wysuniętych częściach kraju, jest najlepszym dowodem, że reprezentują oni siłę nieprzeciętną i zasługują w pełni na zrozumienie i pomoc w umacnianiu poczucia swej jedności.

Ruch pomorski wolny jest od czynników odśrodkowych. Wobec wielkich ruchów migracyjnych na ziemiach Pomorza staje na stanowisku, że najwcześniejsze zlanie się poszczególnych elementów napływowych z miejscowymi, leży w interesie ogólnym i najlepiej dokonane zostanie właśnie w ramach ruchu, skupiającego w sobie aktyw społeczny Pomorza.

Jak wynika z powyższego krótkiego przeglądu, krajowy ruch pomorski, który ideologicznie wyszedł z ruchu kaszubskiego i główne swe siły czerpie z kaszubskiego ludu jako rezerwuaru dynamicznych sił ludowych, jest wyrazem społecznego i politycznego postępu. Znajduje się dziś w dobie twórczej ofenzywy ruchów ludowych. Ruch kaszubsko-pomorski pochodzi od samego początku właśnie z najautentyczniejszych źródeł ludowych. Toteż teraz, kiedy jego energia obrócona być może całkowicie na dzieło tworzenia, oczekiwać należy, że krajowość pomorska wskaże innym członom naszego narodu drogę w utrwalaniu wartości własnych i wzbogaceniu tym sposobem wartości ogólnonarodowych.

Lech Buntkowski

Wieczność

Gwiazdy nie tęsknią za spokojem,
Bo żyją długo.
Spływają migotliwe roje
Drgającą smugą.

Na wątłym śladzie gwiazd osiada
Popiół milczenia —
Ale nie spokój, nie zagłada
Nocnego cienia.

W żyjącym migotaniu przekrocz
Ciszę bezwietrzną
Drzew rzucających cień daleko
W nieznaną wieczność.

Seweryn Pollak

KRONIKA KULTURALNA

TYM RAZEM Emigracja ubiegła nas, rozpoczynając monumentalne wydawnictwo, które powinnoby się ukazywać w kraju. Są to „Straty kultury polskiej w latach 1939—1944" czyli krótkie życiorysy wybitnych Polaków, którzy zginęli czy zmarli w okresie wojny, przeważnie w kraju, umęczeni przez Niemców. Wydawnictwo wychodzi nakładem „Książnicy Polskiej" w Glasgow i obliczone jest na kilka tomów. Doszedł do nas pierwszy jego tom, w objętości 570 stron, zredagowany przez Adama Ordęgę i Tymona Terleckiego. Zawiera 42 życiorysy uczonych, pisarzów, dziennikarzy, plastyków, aktorów i działaczów kulturalnych. Ważne jest to, że każdy życiorys pisany jest przez autora, który żył ze zmarłym blisko lub znał go dobrze: stąd wiele prawdy w życiorysach i szczegółów, intymnych nieraz. Tak np. o Czapińskim pisze Ciołkosz, o Wittigu Henryk Gotlib, o Stanisławie Wysockiej Zygmunt Nowakowski, o Napierskim T. Terlecki, o Stanisławie Piaseckim Karol Zbyszewski, o Franciszku Siedleckim Manfred Kridl, i tym podobnie. Z drugiej jednak strony — bliska znajomość ze zmarłymi i zasada „de mortuis nil nisi bene" powoduje, że żywotopisarze popadają niekiedy w niepotrzebną hagiografię, uczuciowo zrozumiałą zresztą na tle odległości, jaka ich dzieli od kraju w ciągu siedmiu lat emigracji. Szczególnie hagiograficznym charakterem odznacza się życiorys Stanisława Piaseckiego, który nie tylko jest przedstawiony jako tytan pracy, ale i jako jedyny w Polsce prawdziwy krytyk i odkrywca talentów, jemu tylko mających do zawdzięczenia swój rozgłos. W „Prosto z Mostu" — pisze Zbyszewski — „stawiali pierwsze kroki i dzięki Piaseckiemu wypłynęli na szersze wody — Jerzy Andrzejewski, Burek, Gałczyński... W takim np. „Ładzie serca" Andrzejewskiego jest niejedna przeróbka Piaseckiego i niejeden jego pomysł wikłania i rozwiązywania intrygi". Ze szkoły Piaseckiego, zdaniem Zbyszewskiego, oprócz wymienionych wyżej, wyszli również: Mosdorf, Łaszowski, Pietrkiewicz, Piskor, Straszewicz.. Zapewne jest w tych sądach nieco przesady.

•

GENERALNE nowochrzczeństwo ulic odbywa się w Łodzi. Dzienniki tutejsze podały, że na mocy uchwały Rady Miejskiej kilkadziesiąt ulic w mieście będzie przemianowanych. Zniknęły więc lub znikają takie nazwy ,jak: Główna, Pierackiego, Przejazd, Cegielniana, Piłsudskiego, Pomorska, Śródmiejska, św. Andrzeja itd. Na rogach tych ulic zjawiają się nowe tabliczki z napisami: Stalina, Roosevelta, Daszyńskiego, Jaracza, Wschodnia, Nowotki, Więckowskiego, Andrzeja Struga itd. Zapewne podobny proces zmiany nazw dokonywa się i w innych miastach naszych. W związku z tym nasuwają się niejakie uwagi. Jak wiemy, nazwy ulic miewają swoją historię i tradycję, nieraz bardzo odległą. Wprawdzie Łódź pod tym względem nie może się poszczycić dalekimi wspomnieniami, ale i ona ma ulice, liczące po sto lat, i nazwy jej Nawrotu, Przejazdu czy Wólczańskiej mają swoje historyczne uzasadnienie. Cóż dopiero mówić o ulicach Krakowa, Warszawy, Torunia czy Poznania, gdzie każda Szewcka, Marszałkowska, Łazienna czy Piekary zawdzięczają swe imiona różnym okolicznościom i wypadkom, zapisanym w kronikach danego miasta. Przy zmianie więc nazwy ulicy nie wolno się kierować jakiemiś widzimisię. Rzecz inna — nazwy przypadkowe, nadawane nowopowstającym ulicom przez znudzonego urbanistę miejskiego: jakaś Smutna, Wesoła, Miła czy Ciepła. Takie nazwy można zmieniać, i wskazane jest chrzcić takie ulice imionami ludzi zasłużonych, aby je utrwalić w pamięci potomnych. Chodzi tylko o to, że nie wszyscy zasłużeni znani są szerokiemu ogółowi. W Łodzi jest ulica Orzechowa i Orzeszkowej. Szaremu człowiekowi wydaje się, że „Orzeszkowa" — to przymiotnik, i mówi tak: idę na Orzeszkową, dojedziesz dwójką na Orzeszkową. Jeżeli Orzeszkowa budzi wątpliwości, tymbardziej nie przemawia do tłumu ulica Więckowskiego, Koziołkiewicza, Kaufmana albo Żoresa (sic!), istniejące na przykład w Łodzi. Kto to był ów Koziołkiewicz albo Żores (chyba Jaurès)? Wobec tego należałoby pod każdą tabliczką z nazwiskiem umieszczać na dwóch końcach ulicy drugą tabliczkę, objaśniającą krótko, od kogo ulica bierze swą nazwę: kilka dat biograficznych i kilka szczegółów z życia danej osobistości. Wiedzielibyśmy wówczas z pewnością, czy patronem ulicy „Tetmajera" w Łodzi jest Kazimierz czy też Włodzimierz, czy ulica „Gomółki" pochodzi od wicepremiera czy od kompozytora z w. XVI. Zwięzłe a pouczające lekcje historii przydałyby się wszystkim mieszkańcom.

St. Łatka

ŻYCIE ARTYSTYCZNE W CZĘSTOCHOWIE

Od r. 1941 pracuje prof. Józef Oźmin nad konserwacją malowideł ściennych w kaplicy jasnogórskiej. W okresie okupacji zadanie jego było wielce utrudnione. Mimo to udało mu się, w tajemnicy przed Niemcami zaprosić do Częstochowy dra Jana Zachwatowicza — generalnego konserwatora zabytków w Polsce, oraz Michała Walickiego, historyka sztuki i kustosza Muzeum Narodowego. Tak utworzona konspiracyjna komisja specjalistów, badając strop kaplicy, natrafiła na ślady starych malowideł, ukrytych pod tynkiem i freskami z w. XVII, a pochodzących z końca w. XV i początków w. XVI. W czasie okupacji zdołano je mniej więcej zabezpieczyć i dziś dopiero praca nad ich rekonstrukcją i odnowieniem posuwa się w tempie należytym. Wedle opinii kustosza Walickiego malowidła stanowią wielką wartość artystyczną. W klasyfikacji ogólno-europejskiej malarstwa gotyckiego zajmą one jedno z pierwszych miejsc; w średniowiecznym malarstwie polskim wysuną się na czoło.

Prof. Hollak — autoportret (pierwsza nagroda).





St. Barylski — rzeźba.

•

W Częstochowie odbyła się druga po wojnie (pierwsza w r. 1945) wystawa tamtejszego Związku Plastyków. Prace swoje wystawiali między innymi: prof. **Hollak** (autoportret i miniatury), **Wł. Michniewski** (pejzaże), **M. Kossakowska** (karykatury), **Adolf Rząśnicki** (ceramika), **J. Oźmin** (akwarele o tematyce religijnej i pejzaż), **Stanisław Barylski** (rzeźba).

Z. Ch.



J. Oźmin — pejzaż zimowy.

List do Redakcji

Dnia 12 września 1946 roku Sąd Koleżeński Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polski w Łodzi, w składzie: Stanisław Dygat, Adolf Rudnicki i Władysław Rymkiewicz rozpatrywał sprawę skargi kol. Mariana Piechala przeciwko kol. Janowi Kottowi, który na konferencji prasowej w Polskim Radio w Łodzi w dniu 22 stycznia br. oświadczył, że zespół „Kuźnicy" nie będzie współpracował z Polskim Radiem ze względu na obecność w nim jako kierownika literackiego kol. Mariana Piechala.

Po zapoznaniu się z pisemnym wyjaśnieniem kol. Kotta i biorąc pod uwagę:

1. że kol. Kott nie był upoważniony przez zespół „Kuźnicy" do złożenia tego rodzaju oświadczenia,

2. że oświadczenie to godziło w interesy materialne i moralne kol. Piechala.

3. że niewłaściwym jest, aby którykolwiek z kolegów, zrzeszonych w Związku, działał na szkodę swych kolegów,

Sąd Koleżeński

postanowił: uznać bezpodstawność wystąpienia kol. Jana Kotta przeciwko kol. Marianowi Piechalowi i przestrzec kol. Kotta przed podobnymi wystąpieniami na przyszłość.

(—) Stanisław Dygat
(—) Adolf Rudnicki
(—) Władysław Rymkiewicz





Nikogo nie słucha się z taką ciekawością jak owych obywateli ponad sześćdziesiątkę, noszących kapelusze z wentylami i zachwalających przyrodolecznictwo. Nikt nie jest tak czułym powiernikiem ludzkich cierpień jak owi jegomoście, zalecający kąpiele z mrówkami i tworzący własne systemy filozoficzne.

Kiedyś spotkałem takiego oryginała i spędziłem z nim parę niezapomnianych chwil. Jegomość ów odziany był w płaszcz, naśladujący togę, na głowie miał kapelusik słomkowy z dziurkami na odpływ tlenu, nogi jego tkwiły w higienicznych przewiewnych sandałach, z których jeden różnił się kształtem od drugiego.

— Nie aparat nerwowy — mówił ów człowiek — nie aparat popsuty w zdarzeniach przekraczających pojemność naszego systemu centralnego, nie lekceważenie teorii humorów, nie zanik różdżkarstwa w epoce bilardu mechanicznego i elektrycznych ondulacji, nie rozwój lotnictwa spowodowały upadek człowieka. Przypomnijmy sobie wojny z Tatarami i średniowieczne okrucieństwa. Miejmy w pamięci dziesiątki tysięcy wbitych na pal, krocie szarpanych rozpalonymi kleszczami, miliony pędzonych w jasyr i pieczonych na stosach. Czyż ludzie wówczas mieli chwilkę wolnego czasu na hipochondrię, nerwice, urojenia? Nie to i jeszcze raz: nie to było przyczyną naszego rozkładu. Przyczyną upadku człowieka był zanik poczucia higieny, a przede wszystkim lekceważenie... kwasorodu.

— Kwasorodu?

Znajomy uśmiechnął się cierpko.

— Wiem, co mi pan zarzuci. Że jestem niespełna rozumu, je cierpię na idee fixe, że jestem dziwakiem. Dobrze, niech i tak będzie! Zdaję sobie niestety sprawę, że wy — pokolenie radaru, uspołecznienia i reformy rolnej, nie uznajecie ani pijawek, ani kropli bernardyńskich, ani Matejki, ani Wawelu, ani synapizmów. Jednak, daruje pan, ale jak nie ma w naturze dwu takich samych nosów, tak nie ma epoki bez błędów. Błędem obecnej epoki jest nie co innego, lecz właśnie lekceważenie kwasorodu, czyli według pańskiej „nowożytnej" terminologii, tlenu. Tak, tlenu, drogi panie.

KWASORÓD, KOMINY

To powiedziawszy, myśliciel zmierzył sobie puls, zachęcił mnie do zażycia „Balsamu cesarzowej Zyty" i tak zreferował przyczyny naszych niepowodzeń:

„„Nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia gazów w życiu człowieka. Tkwimy psychiką w epoce kamienia łupanego, a zdaje się nam, że przerośliśmy już tramwaj. Jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu, a wydaje się nam, że przeszliśmy w rozsądku Salomona. Nie triumfy techniczne, nie jałowe rozgrywki polityczne decydują o naszym życiu. Kwasoród, ot, to jest fundament tego zjawiska, któremu nadajemy nazwę człowieka: — homo. Kwasoród daje nam świeżość umysłu, powoduje szybkość decyzji, rozwija inicjatywę, jest przyczyną kwaśnienia mleka, kwasoród jest alfą i omegą całego naszego życia! Niestety, zmniejszają się światowe zapasy kwasorodu." Co jest tego przyczyną? Zwyczajnie — kominy. „Spełniają one w naszym życiu tę rolę, jaką we wzniecaniu kurzu spełniają pojazdy mechaniczne, przemarsze wojsk a zwłaszcza kawalerii. Wytwarzają one masę sadzy, która czerni błony naszych płuc, niszczy obicia mebli, brudzi obrusy, zakopca obrazy na ścianach, zatruwa powietrze składnikami szkodliwymi dla obiegu krwi, utrudnia przemianę materii. Gdyby ludzkość pojęła zgubny wpływ dymu, już dawno poczęłaby budować domy bez kominów. Zniklyby raz na zawsze śmieszne sylwety naszych dachów kompromitujące miasto i jego szalonego budowniczego: człowieka." Niestety ludzkość wciąż igra z ogniem!

OBUWIE, NOGI

Lecz nie na tym tylko kończy się nasza lekkomyślność. Drugim powodem naszych cierpień jest obuwie. „Jest ono istotnym wynalazkiem szatana. Z pozoru niewinne narzędzie do ukrywania naszej nagości, w rzeczywistości spełnia rolę podobną do tej, jaką spełniają spodnie. Krępuje indywidualność nowoczesnego człowieka, tamuje obieg soków, utrudnia parowanie skóry, rozmacza podstawy człowieczeństwa, zniekształca i tak już zniekształconą przez brak kwasorodu sylwetę."

— A jaką powinna być noga Europejczyka?

— Noga zdrowego Europejczyka winna być apetyczna jak ręka, nie powinna mieć żadnych fałdi, winna odznaczać się prostotą wykonania i — jak ręka — winna się nadawać do spełnienia przeróżnych czynności. A czy widział pan kiedy, żeby człowiek współczesny potrafił wytrzeć sobie nos palcami od nóg? Żeby umiał nogą zdjąć kapelusz, czy bodaj poklepać się po karku? Nie potrafi nawet dobrze stanąć na swych nogach, korzysta przy każdej sposobności z usług tramwaju a przechwala się ze swej doskonałości przy byle okazji. Czekajmy tej chwili, kiedy nasze dolne kończyny zanikną jak zaginęło nasze pierwotne futro!



Z takim zwierzęciem człowiek łatwo dałby sobie radę, gdyby nie szkodliwa działalność kominów.

SPODNIE, KOŁNIERZYK, STAROŻYTNE SANDAŁY

A reszta naszego odzienia? Absolutnie nie spełnia ono wymagań, jakie nakłada na nie życie. Spodnie?... „Składając się z dwu niezręcznych nogawek, udaremniają przepływ kwasorodu, utrudniają ruchy, kompromitują nas wobec zwierząt upodabniając nogi do czegoś ohydnego, co nie może się obejść bez futerału. Wystarczy spojrzeć na kobietę, aby w pełni docenić znaczenie odzienia. Antyteza spodni — spódnica składa się tylko z jednego płatu, ułatwia transformację ciepła, spełnia w życiu kobiety tę funkcję, jaką w życiu starożytnych pełniła toga. O ileż wyżej od nas stali pod tym względem starożytni. Katon, pracujący na roli bez żadnego odzienia, co najwyżej w szykownych sandałach, czyż nie jest dla nas po dziś dzień jedynym rozsądnym wzorem powiązania ciała ludzkiego z przestrzenią? Jedyną ucieczką dla nas jest gwałtowna rejterada w starożytność. Starożytne sandały, izolujące stopy od ulicznego brudu, wolna, wełniana tunika, zwieszona swobodnie z barków, do tego kawał samodziałowego materiału zabezpieczającego nas przed mrozami, kąpiele w wodzie z lodem, nacieranie całego ciała śniegiem, okłady z mrówek, ot, co jest proszę pana!"

NIEGDYŚ STO DWA KILOGRAMY W SAMYCH PANTOFLACH

— I niech pan zobaczy, co ze mnie zostało. Mam 47 kilogramów w bieliźnie, trzewikach. Przedtem ważyło się sto dwa kilogramy w samych letnich sandałach, jeździło się do Karlsbadu, stosowało się przeróżne diety, używało się odchudzających aparatów — człowiek po prostu nic nie robił tylko tył i odchudzał się.

— I sądzi pan, że to wszystko tylko z powodu braku kwasorodu?

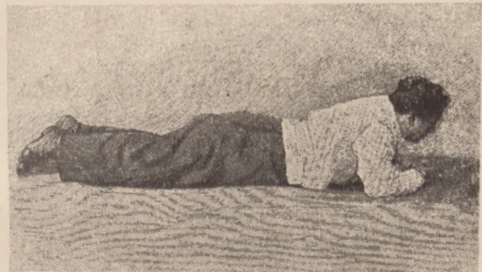
Rozmówca policzył sobie tętno ręki, zażył cztery różnego koloru pastylki, po czym westchnął ciężko.

— A pan ciągle nie dowierza... — jęknął badając swój język w lusterku. Ja panu pół godziny wykładam swoje, a pan wciąż swoje. I tak bywa wiecznie. Wyśmiewamy się z życia bezustannie, a ono wciąż nas wyprowadza w pole. Bo czymże się różni penicillina, czy witaminy od metody Kneippa? Czyż nie są to tylko modne nazwy dla nieznanej nam wcale substancji, którą może za dwadzieścia lat odkryjemy nie w łupinach owocu, lecz w popiele z paznokci? A substancja ta?

Tu mój interlokutor zarzucił róg togi na lewe ramię i pożegnał mnie drwiącym śmiechem.

A ta substancja? To pewnie nie eter, nie kawałki energii, proszę was, lecz kwasoród...

Z. Fijas



Sielanka z Karlowych Varów.

MODA NA ROZDROŻU

Ciągłe zmiany mody traktowane często, jako niezrozumiałe i kapryśne, podlegają pewnym ustalonym prawom następstwa, które zarysowuje się dopiero wtedy, gdy zestawimy porównawczo kilka okresów. Najbardziej wyraźne jest prawo kontrastu, które powtarza się stale. Po ubiorach krótkich następują długie, po luźnych — obcisłe, po frywolnych i kokieteryjnych surowe i proste w swym układzie.

Jak zwykle po wojnie tak i teraz moda dyktuje powrót do kobiecości, do wszelkich akcesorii kobiecego stroju w niczym nie przypominającego męskiego. Dziś więc, jak głoszą metropolie mody, musimy zwrócić mężczyznom ich marynarki, z których chętnie korzystałyśmy przez lat siedem. Najwyższy czas abyśmy włożyły szaty czysto niewieście, podkreślające zawsze modne szczupłe talie nie zatarte przez luźne żakiety. Po chwilowym zachłyśnięciu się fantazyjnymi falbankami, kokardami, kwiatkami i szalonymi kloszami obserwujemy uspokojenie linii zwłaszcza w sukniach i płaszczach, nawrót do dawnych szerokich trzyćwierciówek i bolerek, które można przerobić z poczciwych wysłużonych palt i kostiumów. Dystynkcja w linii zrywa z ekstrawagancką krótkością sukien. Kto wie, może jest to oznaka tęsknoty mężczyzny do takiej swojej, dawnej kobiety, którą cechowała wstydliwość i dyskrecja w ubiorze.

Tak jest w teorii. W praktyce spotykamy wielką dowolność układu i materiałów. Toczy się wyraźna walka między dawną modą sprzed lat dwudziestu, a bardzo śmiałą i ekscentryczną nie wahającą się pokazać całemu światu kolana i uda swych zwolenniczek, pomiędzy praktyczną i oszczędną, ubierającą się z myślą o pracy, odpoczynku i gospodarstwie, a szaloną Muzą, której fanatyczne wyznawczynie żyją po to, żeby się ubrać za cenę wszystkich wyrzeczeń. Która zwycięży — zobaczymy.

Poniżej demonstrujemy kilka modeli na jesień 1946. Dominują kolory jesienne od zieleni poprzez rdzę liści jesiennych aż do brązu kasztanów. W okryciach daje się zauważyć ubóstwo futer. Cóż dziwnego, skórka fokowa kosztuje 3 tys. złotych, a łapki karakułowe dochodzą od 8—12 tys. za skórkę. Futro karakułowe na szczupłą i niewysoką osobę sięga zawrotnych sum 300 tys.



OPIS MODELI

1. Kostium jesienny z samodziału w kolorze wrzosu. Bluzka i chusteczka jasno niebieskie. Charakterystyczna spokojna linia kroju.
2. Komplet sportowy w kolorze zgniło-zielonym. Bolerko tworzy ze zwykłej spódniczki i bluzki wdzięczną całość, zarówno na wizyty, jak i do wyjścia w pogodny dzień. Bluzka sportowa i chusteczka z ciemno brązowego jedwabiu.
3. Kostium jesienny, luźny żakiet trzyćwierciowy jasno popielaty, spódniczka wąska ciemno-brązowa. Skromne obramowanie z brązowego futerka tylko przy rękawach. Szalik i mały kapelusik - beret w kolorze spódnicy.

Barbara Malanowicz

KUPON 5

Zagadka Nr 5 — 3 punkty

....
nazwisko i imię

....

....
adres

....
rozwiązanie

SKLEROZA

O WSPÓŁPRACĘ CZYTELNIKÓW W „SKLEROZIE“

CO TYDZIEŃ NAGRODA

"'zorem starych „Wiadomości Literackich“ prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy“ z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY

150 ZŁ NAGRODY

która może być ewentualnie podzielona w razie braku odpowiedniej kandydatury.

●

W ubiegłym tygodniu nagrodę w wysokości **150 zł.** otrzymał **p. Stefan Kalinowski z Warszawy** za nadesłanie poniższego wycinka z „Życia Warszawy — Wieczór“ (Nr 3 z dn. 20.9.1946).

Mieszkamy lepiej niż przed wojną
Sensacje statystyki mieszkaniowej

Najnowsze dane statystyczne, dotyczące obecnych stosunków mieszkaniowych w Warszawie, publikowane dzisiaj przez nas po raz pierwszy, stanowią niespodziewaną rewelację dla władz i dla mieszkańców stolicy. Cyfry, oparte na ostatnich spisach ludności, dowodzą bowiem czarno na białym, że mieszkamy lepiej niż przed wojną,. Niemożliwe! A jednak...

Przed wojną, w porównaniu z innymi miastami Europy, Warszawa była niesłychanie zagęszczona. Podczas gdy w innych stolicach zagęszczenie na 10.000 metrów kw. sięgało 70—80 mieszkańców, u nas na tym samym obszarze dusiło się 115 osób, a w niektórych dzielnicach śródmieścia nawet 150. Przeciętna cyfra zagęszczenia na 1 izbę wypadała przy tym ok. 2 osób.

Według danych z ostatnich miesięcy przeciętne zagęszczenie mieszkań 4 i więcej izbowych w stosunku do okresu przedwojennego podniosło się z 1 osoby na izbę do 2 osób na izbę. Zaludnienie mieszkań najmniejszych rozluźniło się natomiast do 3, 4 osób na izbę.

I oto doszliśmy do stwierdzenia, dlaczego mieszkamy lepiej niż przed wojną. W ruinach stolicy zrównali się biedni i bogaci.

Dopiero na podstawie tych rewelacji „Wieczoru“ zrozumieliśmy jakim dobrodziejstwem stało się dla warszawiaków powstanie. Naczelny redaktor „Wieczoru“ p. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz przeżywał powstanie — jak wiemy — całą duszą w Londynie.

Od administracji:
Prosimy o odnowienie prenumeraty na m-c październik b. r.

WARUNKI KONKURSU

W Nr. 6 ogłosiliśmy konkurs na rebusy które podawane będą w 10 kolejnych numerach.

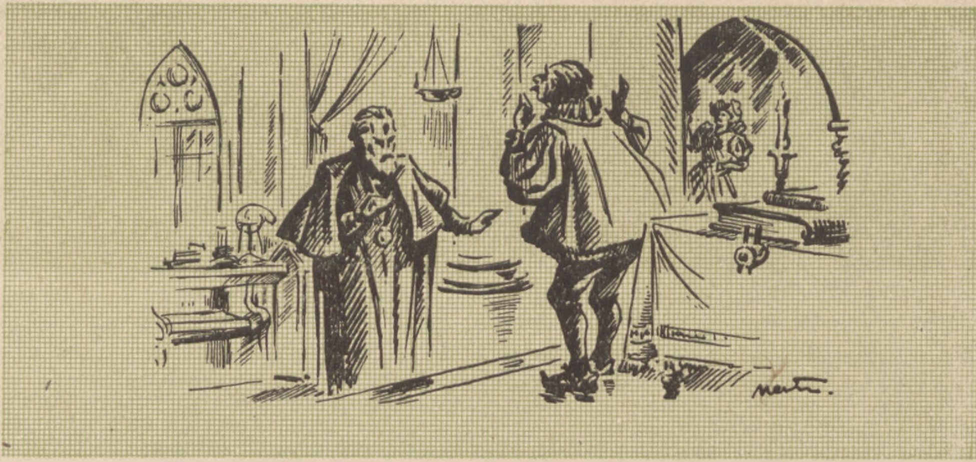
Dziś zamieszczamy 8-my z kolei rebus.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:
1 nagrodę — 1500 zł.
1 nagrodę — 1000 z.
8 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 4 listopada b. r. do redakcji „Tygodnia“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr 13 przyznane będą 3 punkty.



Anegdoty historyczne

PRZEPOWIEDNIA

Ludwik XI (1461—1483), władca, który zniszczył potęgę feudałów, zjednoczył Francję i ugruntował w niej absolutyzm, był z natury swej zarówno okrutny jak przesądny i zabobonny. Przed każdym przedsięwzięciem politycznym radził się swego astrologa — Włocha Galeottiego. Pewnego razu, udając się na wyprawę przeciw Karolowi Śmiałemu, księciu Burgundii, usłyszał od Galeottiego taką wróżbę:

— Najjaśniejszy panie, wszystko pójdzie jak najlepiej“.

Tym razem jednak wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Okrutny król przywołał niemniej okrutnego Tristana, swego marszałka dworu, i rzekł do niego:

— W przyległej izbie jest Galeotti. Wejdę tam, a ty słuchaj pod drzwiami. Jeżeli powiem: „Jest sprawiedliwe niebo nad nami“, powiesisz natychmiast astrologa; jeżeli usłyszysz słowa: „odejdź w pokoju“, Galeottiemu włos z głowy spaść nie może.

Wszedłszy do izby, król pyta ironicznie:

— I cóż, mój panie astrologu. Ty, który wszystko tak wiernie przepowiadasz, powiedz mi, kiedy umrzesz?

Galeotti pochylił się w niskim ukłonie.

— Panie, gwiazdy przepowiedziały mi oddawna, że umrę na trzy dni przed Waszą Królewską Mością.

W tym momencie Tristan, z uchem przyłożonym do drzwi, słyszy głośny, trzykrotny krzyk zabobonnego króla :

— Idź w pokoju, idź w pokoju, idź w pokoju!

ZAGADKA CZARNEJ ŚMIERCI



Policja paryska zastanawia się obecnie nad rozwiązaniem tajemnicy morderstwa.

W maleńkiej chatce w okolicach Paryża znaleziono ciało białego człowieka, które jednak za pomocą nieznanych środków chemicznych zostało w sposób trwały zabarwione na czarno. Zamordowanym był François Vintenon, znany w Quartier Latin jako poeta z grupy egzystencjalistów, pisujący niezrozumiałe wiersze, złodziej, były kollaboracjonista a potem bohater „Maquis“. W okresie należenia do podziemnego Ruchu Oporu Vintenon, człowiek o twarzy perwersyjnego anioła — wpadł w ręce lekarza, zwanego doktór Szatan. Wciągnął on Vintenona do egzystencjalistów, grupy zdegenerowanej moralnie i psychicznie, której zasadą jest kompletny nihilizm.
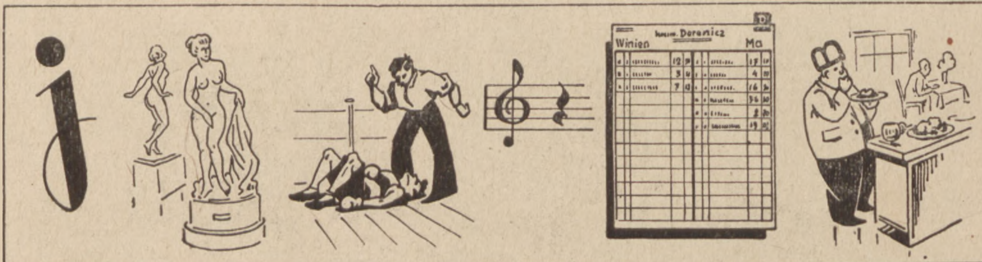
Doktór Szatan był właścicielem domku, w którym znaleziono czarne zwłoki Vintenona. W domku tym przeprowadzał on właśnie doświadczenia, których policja nie umie wytłumaczyć. Zdołał się jednak oczyścić z zarzutu morderstwa. Nie umiał jednak wytłumaczyć, w jaki sposób w jego łóżku znalazły się zwłoki perwersyjnego anioła. Jedynymi punktami zaczepienia są: fotografia Vintenona w towarzystwie dwóch malarzy — egzystencjalistów oraz obrazek znaleziony w chacie a przedstawiający czarną twarz z wytrzeszczonymi gałkami ocznymi. Malarzem okazał się również egzystencjalista Claude Lormean.

Wyglądało, jakby Lormean zabił Vintenona, by zdobyć model do swego obrazu, lecz eksperci orzekli, że obraz namalowany został kilka miesięcy temu.

W ten sposób tajemnica śmierci Vintenona pozostała niewyjaśniona i żaden ze specjalistów nie potrafił odkryć jakim środkiem chemicznym zmieniono skórę białego człowieka na czarny heban.

S.S.

KONKURS „TYGODNIA“ NA REBUSY





Zagadka piąta

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia“ — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia“. Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników piątą z 15 zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 4 punkty)

ZAGADKA NR 5

„Najpiękniejsza góra na świecie“, jak twierdzą mieszkańcy jej podnóży, otaczający ją religijną czcią. Jest ona — w ich mniemaniu siedzibą dobrych i złych mocy, wierną opiekunką kraju, gdyż jak biała korona, pokryta wiecznymi śniegami panuje nad okolicą. Przysłowie ludowe powiada: „Sen, w którym widzisz górę, jest najlepszą wróżbą“. Jaka jest nazwa tej góry?

Kupon na stronie 11
wypełnić czytelnie, wyciąć i odesłać.

BYWA I TAK

Źle się w oliwie poczuły szprotki,
Cukier się martwił, że jest za słodki,
Czapla wzdychała: "Mam grube nogi",
Mól na suficie szukał podłogi.
Kreda się gryzła, że taka biała,
Krowa nad własnym mlekiem biadała,
Sól uważała, że nie jest słona,
Wąż biegł i wołał: "Szukam ogona!"
Atrament płakał, że jest w żałobie,
Zegar rzekł stojąc: "Pójdę już sobie".
Ślimak zapewniał, że nie jest brzydki,
Woda jęknęła: "Zmokłam do nitki".
Wierzba zdębiała, dąb się zaperzył,
Jeż się okocił, a kot najeżył.

J. BRZECHWA

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 09647